

VaritArt

pismo kulturalno-literackie 02/2011



www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483



FOTOMONTER X

Anna Rau

Olsztyn-Nagórki. Budowa osiedla
(wczesne lata 80-te XX w.)
Fot. Witold Mierzejewski
Ze zbiorów WBP w Olsztynie



Zbigniew S. znów obudził się z tym strasznym uczuciem, że dziś w nocy nie istniał. Nie – że go ktoś zabił. Nie – że cofnął się w czasie do idiotycznego okresu dzieciństwa – gdyż tak je w swojej powadze i poczuciu prestiżu społecznego odbierał. *To całe ganiecie z miśm pod pachą w kółko wokół kamienicy* (mieszkał na Karłowicza). *Albo bieganie tam i z powrotem po schodach z okrzykami ta-ta-ta i zabijaniem z broni wszystkiego, a zwłaszcza wroga... O nie!* Tej nocy – chyba po raz tysięczny, odkąd zamieszkał w dzielnicy Nagórki – wyraźnie pamiętał! – we śnie czy poza snem po prostu poczuł, że nigdy nie istniał! Nagle znalazł się w rzeczywistości, w której nikomu nawet nie przyszła do głowy myśl, że Zbigniew S. mógłby zaistnieć. *Gdzie byli moi rodzice, Bóg raczy wiedzieć. I jaka szkoda!* – mam przecież liczne dokonania i do czegoś tam doszedłem. Jego śpiąca obok żona jak zwykle nie wyczuła problemu i nawet się nie obudziła. Choć w tym strasznym momencie nocy jej też nigdy nie było. Niczego nie było: ścian, mebli ekologicznych acz z połyskiem, bambusowego dywanu *old design* i zawieszonych na ścianach czaderskich talerzy do potraw molekularnych.

Zbigniew S. westchnął, przerzucił bolesnym rzutem ciało na podłogę i z ulgą pogrążył się w porannym labidzeniu nad rozkoszami wstawania do pracy. *Nie będę o tym myślał* – mamrotał do siebie. Niepokoiło go tylko to, że podobne nocne wspomnienia – i to niejednym razem – słyszał z ust kilkorga sąsiadów spotykanych w windzie, na przystanku, na podwórku, w sklepie. Wyszło na to, że w nocy mieszkańcy Nagórek masowo i naprawdę odczuwali swe nieistnienie. A przecież byli. *Bzdura jakaś* – kiwał głową. – *To ten stres i spaliny.* Ale w głowie zakiełkowała mu myśl – *Przypilnuję tę diabelską godzinę. Nie zasnę, wstanę i przegonię zmorę. A przede wszystkim zobaczą, co to jest.* Przez chwilę poczuł się jak warmiński Van Helsing i to pomogło – aż do czwartej nad ranem... kiedy nagle się zerwał i zobaczył... nic. Zresztą nie „zobaczył” właściwie – nie miał oczu. NIE BYŁO GO. Nie było wieżowców, domków z ogródkami, wielkiego osiedla. Huśtawek, kościoła z białej cegły, sklepów całodobowych, umiłow-

nych samochodów marki wszelakiej. Było pole szerokie. Mgły unoszące się poziomymi pasmami nad czarnoziemem, jakiś pojedynczy nieśmiały jeszcze głos ptaka. „Gdzie Nagórki?!” – Zbigniew S. wydał z siebie broczący rozpaczą krzyk. I zniknął zupełnie.

Rano, za półtora godziny, gdy znów wstawał do pracy, właściwie niczego nie pamiętał – tylko zza papierowej ściany od sąsiadów usłyszał ni to okrzyk ni skowyt ulgi przemożnej – „Istnieję! Ja jestem!!!”.

Jacenty jak zwykle orał pole. Na głosy, które fruwały mu zza odgarnięciem każdej skiby nie zwracał uwagi. Już dawno przestał pluć przez lewe ramię i syczeć „W imię Ojca..”. Wielebny Pharrer Bruno wyjaśnił mu, że to dusze czekające zmiłowania w ziemi – i że ani go nie widzą, ani słyszą, tylko czekają zbawienia. Więc i on ma na nie uwagi nie zwracać, a robić swoje. Jacentemu tylko jeden głos wydał się dość przejmujący: „Mamo, nie ma mnie, nie ma!” – usłyszał pewnej godziny, jak zwykle orając. Jacenty nie wytrzymał – pomyślał o swoim pięcioletnim szurku śpiącym w chałupie i wyszeptał:

- Cichaj, maluśki, to zły sen.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: SOC; info@sphereoncord.com

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

02	Fotomonter X
04	Wywiad z Bartoszem Świąteckim i Adamem Cieślakiem
08	Minimalbooks
10	Recenzja literacka
12	Proza → Katarzyna Enerlich
13	Proza → Michał Biedziuk
14	Proza → Konrad Sierzputowski
14	Poezja → Krzysztof Kapinos
15	Proza → Marcin Makowski
15	Poezja → Michalina Janyszek-Kujawa
16	Galeria „VariArt-u” VII Olsztyńskie Biennale Sztuki
18	Spotkania Zamkowe – edycja 2.0
19	Ankieteria
20	„Śpiewo-Kręgi” – synergia muzycznych tradycji
21	Poezja → Walt Whitman
22	Warsztaty Fotograficzne 50+
23	Felieton
24	Recenzja literacka
25	Klub Literacki Młodych
26	Recenzja muzyczna
28	Szkice z obrazkiem
29-31	Felietony

^ z głów! – taki wpis otrzymałby dziś Chopin po koncercie lipskim na swoim Facebook-profilu. Komentarz wpisałby Schumann, alias 5H6M4Nn

Czy dziś artysta bez profilu nie istnieje? Czy Internet jest szansą czy pułapką? Czy można w nim wypłynąć czy zatonać? Takie pytania dręczą ludzi od początków istnienia e-Sieci – my odpowiadzi ostatecznej nie damy, ale kilka postaw prezentujemy – od entuzjastycznej po nieufną. Minimalbooks Siweckiego, „ośli” zachwyt Iwaszczyszyna, pragmatyzm Cieślaka, ostrożność Bauera i Beški. Przedstawiamy też najmłodsze e-dziecko CEiIK-u – Multimedialne Archiwum Spotkań Zamkowych.

Nowatorskie pomysły pączkują nie tylko w Internecie – odkrywczą koncepcję muzyki wokalne prezentuje Marcin Wawruk, próbę współczesnego odczytania nouveau roman – Waldemar Tychek, o nowych koncepcjach artystycznych w przestrzeni publicznej mówią Adam Cieślak i Bartosz Świątecki. Klub Literacki Młodych i „rzeźnicki” konkurs literacki MOK-u prezentuje Iwona Łazicka-Pawlak. Czy wobec tego koniec sztuki recytacji? – pyta retorycznie Roman Maciejewski-Varga.

Tradycyjnie w „VariArcie” nie zabraknie recenzji muzycznej, „Fotomontera”, „Szkicu z obrazkiem” Dariusza Szymanowskiego, recenzji książek regionalnych i relacji z wydarzeń kulturalnych oraz tekstów literackich – tym razem jest to proza Katarzyny Enerlich, poezja Whitmana w niepublikowanym dotąd przekładzie Krzysztofa Dariusza Szatrawskiego oraz wybrane utwory laureatów Rzeźni Literackiej. W galerii „VariArt-u” eksponujemy prace uczestników VII Olsztyńskiego Biennale Sztuki.

Czy w tych elektronicznych czasach umiemy jeszcze grać w Czarnego Piotrusia? Na okładce baby pruskie, którymi Olsztyn stoi. Zagrajmy babą w Babo-Piotrusia!

„VariArt” zamyka komentarz w sprawie „Wawrzynu 2010” w rewolucyjnym tłumaczeniu na język pokemoński (wreszcie dotrzemy do najmłodszego pokolenia!).

Niech @ będzie z wami!

e-Redakcja

PS. My, oczywiście, jesteśmy w Sieci!
www.wbp.olsztyn.pl/publikacje



Nowe wymiary przestrzeni

Iwona Bolińska-Walendzik: Zanim zapytam się o inspiracje i motywy Waszej działalności twórczej, odpowiedzcie, proszę, czym jest dla Was Internet?

Bartek Świątecki: Internet jest dla mnie miejscem, gdzie mogę śledzić aktualności związane z moimi zainteresowaniami, dzięki któremu poznaję nowych ludzi, artystów, organizuję kolejne przedsięwzięcia. Mam swoją stronę internetową, prowadzę dwa blogi. Na stronie umieszczam dokumentację zdjęciową swoich działań, wrzucam filmiki. Jednak mój stosunek do Internetu się zmienił, odkąd podjąłem pracę zawodową. Zrezygnowałem z pokazywania swojego życia prywatnego, ograniczam się jedynie do funkcjonowania jako artysta...

Adam Cieślak: Na pewno w porównaniu z Bartkiem dużo mniej korzystam z Internetu. Internet jest, można tak powiedzieć, poza mną. Do tej pory nie mam strony internetowej. Nie ma mnie na Facebooku. Ostatnio jednak przekazałem swoje bio do Leksykonu Kultury Warmii i Mazur, jestem też w trakcie przygotowywania strony internetowej. Nie bronię się przed Internetem, po prostu go nie nadużywam. Bartek śmieje się ze mnie, że skoro nie jestem na Facebooku, nie istnieję jako artysta i jako człowiek w ogóle. Ostatnio przyjął się taki stereotyp, że kto nie ma konta na Facebooku, tego po prostu nie ma. No więc ja na przekór jego teorii istnienia – nie mam konta na żadnym portalu społecznościowym. A tak na poważnie, zawsze mało zajmowałem się Internetem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jest to medium bardzo pomocne, jeśli chodzi o wypromowanie siebie, nawiązanie kontaktów i w wielu przypadkach pomaga, ale też wiele rzeczy w człowieku usypia. Między innymi kreatywność, czy chęć aktywnego poznawania świata realnego. Oczywiście, gdy się popatrzy na Bartka, wygląda to trochę inaczej. W jego przypadku kontakty z ludźmi przez Internet stanowią kolejną aktywność twórczą. Natomiast moim zdaniem takie inspiracje z natury są pełniejsze – chodzi o zapach, smak i o dużo innych rzeczy. A w Internecie tego nie masz, są tylko opisy. Dla mnie jako rzeźbiarza ważna jest przestrzeń. Oczywiście myślę o przestrzeni w wielu aspektach, jako o przestrzeni społecznej, o formie ją organizującej, przestrzeni rzeźbiarskiej. Chociaż widzę ogromną siłę Internetu, to jest tam dużo pułapek, które cychają na człowieka. Jak na naszym przykładzie widać, odmienne podejście do Internetu nie przeszkadza nam wspólnie działać. Można nawet powiedzieć, że dobrze się uzupełniamy, niezależnie od tego, czy mnie widać czy nie na Facebooku. Bartek jest megaaktywny internetowo i łapie kontakty w ten sposób, co mu ułatwia funkcjonowanie w dzisiejszym świecie. A ja z natury zdecydowanie mniej tego medium używam, wolę świat realny.

I.B.-W.: Porozmawiajmy o Was, o Waszych doświadczeniach artystycznych. Bartku, wyszedłeś od malarstwa i malarstwo jest Ci bliskie, ale podchodzisz do niego w specyficzny sposób.

Rozmowa z olsztyńskimi artystami – Adamem Cieślakiem i Bartkiem Świąteckim

B.Ś.: Miałem różne etapy. Na początku studiów moje malarstwo było bardziej figuratywne i klasyczne. Studia ukończyłem w pracowni prof. Lecha Wolskiego, który otworzył przede mną duży wachlarz możliwości na działania bardziej konceptualne, na to, że malarstwo nie kończy się na płótnie, a może się też z niego wylewać. To bardzo otworzyło mnie na to, co dzieje się teraz: murale, malarstwo ścienne, fakt, że obraz może być podmalowany na ścianie, i na różne działania, które wchodzą w przestrzeń publiczną. Moje instalacje odbijają się w obrazach, a obrazy wykorzystuję w instalacjach. Obrazy, które robiłem na studiach, skończyły się wraz z nimi. Później ciągnąłem przez dwa lata pomysł na obrazy czarno-białe, bardzo graficzne, szablonowe. Ten okres zamknąłem dużą wystawą. Teraz powracam do malarstwa z początku studiów, czyli dużo eksperymentowania na płótnie z kompozycją, kolorem, materiałem. Zdobyte doświadczenia łączę i wychodzą kompozycje mocne, geometryczne, intuicyjne, ekspresyjne.

I.B.-W.: Podstawową wartością Twojej pracy są linie i napięcia, które one tworzą...

B.Ś.: Konstruktywizm, geometria, linia – to są rzeczy bardzo mi bliskie. Powojenna sztuka rosyjska, Archipenko, Rodchenko, Malewicz, Bauhaus, polskie grupy Blok i Praesens czy Henryk Stażewski. To są grupy i postaci, które wywarły na mnie wielki wpływ. Kiedy intensywnie myślę o swoich pracach i zaczynam je analizować, to widzę, że te rzeczy, o których się uczyłem i o których rozmyślałem, teraz podświadomie wychodzą w obrazach, ścianach i instalacjach. Zahaczają one o dekonstrukcję. Podświadomie buduję obraz poprzez rozczłonkowanie, kolaż kompozycji i złożenie tego na nowo. Ten rodzaj sztuki jest mi bliski i pojawia się na różnych polach mojej działalności.

I.B.-W.: Dekonstrukcja pojawia się w malarstwie, ale przenosisz ją właśnie do instalacji, które robisz... – robicie i z Adamem Cieślakiem, i z innymi osobami.

B.Ś.: Instalacja jest dla mnie interesującym medium, działaniem przestrzennym po części wchodzącym w *Street Art* czy *Urban Art*, bardzo popularne obecnie pojęcia odnoszące się do działań w miejscach publicznych. Przecinając przestrzeń kompozycjami linearnymi i analizując je, działania te okazują się rodzajem przestrzennych szkiców do rzeczy, nad którymi później skupiam się w pracowni.

I.B.-W.: Adamie, mówisz o przestrzeni, jesteś rzeźbiarzem, skończyłeś UMK w Toruniu. Co dla Ciebie jest ważne w sztuce?

A.C.: Kiedy zaczyna się studia, wyobrażenie o sztuce czy kierunku, który się wybiera (w moim przypadku o rzeźbie), jest jeszcze bardzo rozmyte, płynne. Na początku moja świadomość przestrzeni była w jakiś sposób nieokreślona. Rzeźbę traktowałem jako pewną konkretną formę. Na pierwszym roku byłem w pracowni prof. Andrzeja Borcza, dużo czasu poświęcaliśmy anatomii, robiliśmy przez cały



Adam Cieślak (z lewej)
i Bartek Świątecki
„Punkt zwrotny”
(Olsztyn)

czas studia – ręki, głowy, postaci itd. Była to ważna podbudowa, zrozumiałem, że w rzeźbie studium to podstawa, to elementarz, od którego trzeba wyjść. Później wybrałem pracownię prof. Macieja Szańkowskiego, a następnie prof. Krzysztofa Mazura, obie bardziej konceptualne. Konceptualizm jest pewnego rodzaju językiem, którym możemy opowiadać rzeczywistość. W tym czasie określiłem się w rzeźbie jako w fascynacji przestrzenią, a nie w klasycznym podejściu. Przez zmianę świadomości artystycznej zmieniło się moje podejście do pracy, choćby do samego portretu. Otworzyło mi się spojrzenie na to, że rzeźba to wszystko, co ma związek z przestrzenią. Od przestrzeni fizycznej po przestrzeń społeczną, która dla mnie też jest rzeźbą. Po studiach podobnie jak Bartek trafiłem do firmy – ja akurat pracowałem w zespole inwestycji i projektów architektonicznych. Zajmowałem się opracowaniami koncepcyjnymi i projektowymi z zakresu zagospodarowania przestrzeni. Później zaczęła się praca w Liceum Plastycznym. Znalazłem tu swoje miejsce. Jestem w końcu w swoim sosie i mam możliwość robienia swoich rzeczy. W moim przypadku przejawia się to m.in. działaniami z Bartkiem, po prostu z aktywnością twórczą. Zaczynam poznawać środowisko i nabieram pędu.

I.B.-W.: Obaj pracujecie w olsztyńskim Państwowym Liceum Plastycznym. Czy to połączyło również Wasze drogi twórcze?

B.Ś.: Z Adamem znamy się od Liceum Plastycznego, które obaj kończyliśmy pod koniec lat 90-tych, teraz w nim pracujemy.

A.C.: Myślę, że z Bartkiem połączyliśmy po prostu nasze doświadczenia rzeźbiarsko-malarskie i to pozwoliło nam mocno wyjść w przestrzeń. Każdy z nas wkłada w instalacje swoje emocje. A jeszcze na tyle się dogadujemy i rozumiemy, że nasza praca jest twórcza na etapie projektu oraz etapie realizacji i przebiega zupełnie bez zakłóceń.

B.Ś.: Nasza współpraca polega na łączeniu się przeciwieństw. Ja jestem malarzem, Adam rzeźbiarzem. Ja bujam w obłokach, Adam podchodzi bardzo technicznie, profesjonalnie do tematów. Bez Adama nie poradziłbym sobie, nie podszedłbym do projektu „Urban Vision Quest” w Bydgoszczy. Z Adamem skupiamy się na działaniach, gdzie wchodzimy w przestrzeń konstruktywistycznymi liniami, wykorzystujemy różne materiały – jak folię, sznurek itp.

I.B.-W.: „Urban Vision Quest” to trudna realizacja, bo to nie tylko działanie w przestrzeni, tu działaliście na konkretnym dziale innego artysty, zmienialiście je. Działanie w parku, lesie, w przestrzeni miejskiej jest bardziej Wasze. Działanie z pracą innego twórcy wymaga współpracy z osobą, która niekoniecznie chce, by ktoś ingerował w jej dzieło.

B.Ś.: Odbuło się kilka rozmów z autorem Pomnika Tysiąclecia Państwa Polskiego, architektem Stanisławem Lejkowskim, mentorem bydgoskiego środowiska artystów. Kiedy przedstawialiśmy mu nasz pomysł, najpierw był sceptycznie nastawiony. Ale omówiliśmy z nim, co nasze działanie ma na celu, w jaki sposób ma wpłynąć na ludzi, mieszkańców Bydgoszczy, i otworzył się. Punktem wyjścia w rozmowach był fakt, że pomnik stał się wykluczony społecznie, anonimowy, nikt nie wie dziś, czemu służy. Chcieliśmy z jednej strony stworzyć coś, co podkreśli go i jego wymowę, coś, co go nie zniszczy, a z drugiej strony będzie chwilowe i ulotne. Przygotowania trwały kilka miesięcy, a sama realizacja kilka dni, całą logistyką zajmowało się Stowarzyszenie „Stumilowy Las” i pomysłodawca całego projektu, Marcin Plocharczyk. Nasze działanie było jednym z kilku zaplanowanych w tym projekcie, m.in. obok Grupy „Twożywo”. Autor Pomnika był również z nami przy całym procesie tworzenia, dawał wskazówki. Było to dla nas bardzo cenne doświadczenie.

A.C.: Muszę powiedzieć, że wcześniej, przy realizacji innych projektów, myśleliśmy już o takiej formie. Ale dopiero, gdy dostaliśmy zaproszenie do „Urban Vision Quest”, pojawiła się możliwość realizacji. Zastanawialiśmy się, jak podejść do już istniejącej formy. Wiedzieliśmy, że jest konkretny artysta, który żyje, jest cały czas związany z Bydgoszczą. Pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego powstawał w latach 60-tych ubiegłego wieku, ma jakąś swoją przeszłość, mieszkańcy Bydgoszczy mają do niego podobny stosunek, jak my do pomnika Xawerego Dunikowskiego. Z tym że tam jest trochę gorzej – chcieli go wyburzyć i sprzedać plac. W Olsztynie pomnik Dunikowskiego jest wpisany do rejestru zabytków i raczej nikt go nie zburzy. Patrząc na artystę, który wie, że miasto chce zburzyć jego pomnik, a tu jeszcze młodzi wpadają i chcą ingerować w to dzieło, trzeba było działać rozważnie. Próbowaliśmy tak to rozwiązać, żeby nie dość, że nie zadusić tej rzeźby, to jeszcze ją wynieść, pokazać, przypomnieć. Bo ludzie, przechodząc przez ten plac, traktowali ten pomnik jak powietrze albo jak drzewo. A przecież on ma 15 m wysokości, jest dynamiczną, idącą w górę formą. Naszym działaniem uwypukliliśmy go, jeszcze bardziej wprawiliśmy w ruch, związaliśmy go z placem. Tak, że widz, który wchodził w tę przestrzeń, musiał go czytać razem z placem, bo my go po prostu fizycznie z tym miejscem związaliśmy. Folia stretchowa, w której pracowaliśmy, pozwoliła nam wejść w formę pomnika, a z drugiej strony jej transparentność powodowała, że rzeźba Lejkowskiego wciąż była widoczna, czytelna. Wprowadziliśmy również rysunek linią z folii do środka, gdzie pod wpływem światła pojawiły się nowe wartości. Lejkowski z tego efektu był zadowolony, nawet trochę żartował, że mu pakujemy pomnik, bo jak miasto go nie chce, to on go przewiezie do Nowego Jorku. Widział, że staraliśmy się z szacunkiem podejść do jego dzieła i doceniał to.



„Babel” (Olsztyn)



„URBAN VISION QUEST” (Bydgoszcz)

I.B.-W.: Wspólne Wasze działania to jeszcze „Babel” i „Punkt zwrotny” w Galerii Stary Ratusz WBP oraz „Olsztyn” w opustoszałym budynku?

A.C.: Tak, „Olsztyn” to kompozycja w zniszczonej hali. Działanie to było dla nas formą szkicu. Pomieszczenie potraktowaliśmy jako przestrzeń zadaną, a my bawiliśmy się formą i efektem. W międzyczasie biblioteka i projekt „Babel”. Stworzyliśmy tu organiczną formę, której szkielet bazował na poplątanych sznurkach wyznaczających różne kierunki. Cała forma została symbolicznie zniszczona jednym ruchem. W „Punkcie zwrotnym” odeszliśmy od organiczności. Nawiązaliśmy do konstrukcji zadaszenia bibliotecznego patio. Zamontowane w podłodze lustro pozwalało „odbić się” od podłogi i pokazać tę konstrukcję w zupełnie innym wymiarze. Tak jak podkreślałem to już wcześniej, zarówno przy projektowaniu jak i w czasie realizacji dobrze się rozumiemy. Oczywiście bywa, że nerw twórczy w trakcie realizacji zmienia koncepcję. Zawsze jest ten element niewiadomej, która zmienia pewne rzeczy. Wtedy już działamy bez słów, nie musimy się na etapie tworzenia konsultować. Po wszystkich odchodzimy na chwilę i zastanawiamy się, czy to nam pasuje, czy to już jest koniec.

I.B.-W.: Gdy pojawiacie się w opuszczonych budynkach, parkach lub innych miejscach, czego poszukujecie, co takie działanie ma na celu?

B.Ś.: Jest to wciąż poszukiwanie wartości. W moim przypadku to szkicowanie w przestrzeni, zarówno w parku, w lesie jak i w innych miejscach. Zapamiętywanie kompozycji, rozważanie ich, odczuwanie energii, która jest w tych miejscach, a potem praca nad tymi szkicami w pracowni.

W instalacji „Olsztyn” tworzyliśmy z Adamem w pustostanie kompozycję z folii. To działanie wymyślone było w czasie projektu „Urban Vision Quest” – chcieliśmy przenieść instalację z przestrzeni otwartej, ogromnego placu do wnętrza, gdzie jesteśmy ograniczeni ścianami budynku, zamknięci. Tak pracujemy. W czasie jednej realizacji pojawia się już pomysł na kolejne działanie, które pozwala rozwiązywać kolejne problemy nas interesujące. Po projekcie „Olsztyn” mieliśmy pomysł na „Babel”, do którego zaprosiłaś nas z ramienia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie. Ta instalacja nie miała charakteru tak futurystycznego i geometrycznego, stworzy-

liśmy formę bardziej biologiczną, jakby kokon, tak jak już wcześniej wspominał Adam. Przy tej realizacji stwierdziliśmy, że w przestrzeni Galerii Stary Ratusz możemy wejść jeszcze inną geometrycznością. Stąd nasz pomysł na odbicie w lustrze kompozycji „Punkt zwrotny”. Za każdym razem poprzeczkę przesuwamy coraz dalej, rozbudowując pomysł, dodając nowe elementy, eliminując inne.

I.B.-W.: Na ile interesuje Was warstwa społeczna przy tworzeniu instalacji, chociażby tak jak w Twoim przypadku projekt „Home sweet Home”.

B.Ś.: Jest to szalenie interesujące. Nie zamykamy się w galerii, dostępnej dla ograniczonej liczby ludzi, ale wychodzimy w przestrzeń publiczną i działamy dla większej ilości osób. Komunikat musi być więc prostszy, zrozumiały dla każdego „Kowalskiego”, który go widzi. Często zdarzają się interakcje. W zeszłorocznej instalacji „Home sweet Home” okazało się, że zniszczony domek działkowy, w którym pracowałem, był zamieszkały. I jego mieszkaniec obudził się bardzo zdziwiony, czy na pewno jest to ten sam dom, w którym kładł się spać wieczorem (śmiech).

I.B.-W.: Jaką rolę w waszych realizacjach odgrywa przypadek?

B.Ś.: W każdym z tych projektów jest mało miejsca na nieprzemysłanie ruchu i chaotyczne działanie. Gdy robimy projekty z Adamem, robimy bardzo dużo szkiców, koncepcji i wszystko od początku ma swój sens. Może dlatego, że w naszym życiu się tyle dzieje, praca zawodowa, rodzina, na realizację jest tak mało czasu. Gdy wchodzę w daną przestrzeń, mam przemyślany krok po kroku każdy ruch i wiem, że mam jedynie pół godziny czy godzinę, w której musi się to wydarzyć. Oczywiście gdzieś tam zdarza się intuicyjne, spontaniczne działanie, ale jest ono marginalne.

I.B.-W.: No właśnie taka realizacja „One minute”, czy faktycznie trwała jedną minutę?

B.Ś.: Tak, to działo się tak szybko, że dla dowcipu nazwałem to „jedna minuta” (śmiech). Ale potem siedziałem tam chyba dwa dni i patrzyłem na to, co powstało. W tym czasie zrobiłem około trzydziestu szkiców. Dzięki tej przestrzeni, którą tam zbudowałem, i temu przestrzennemu szkicowi powstała między innymi wystawa „Ustrukturalnienie” w Sopocie (którą zrobiłem razem z kolegą Krzysztofem Syruciem). Stworzyłem kompozycję „w minutę”,



„Olsztyn” (Olsztyn)

potem ją przerysowywałem, a to zaowocowało w postaci cyklu obrazów.

I.B.-W.: Czy myślisz w trakcie pracy w danej przestrzeni, że pozwolujesz ją na nowo do życia?

B.Ś.: Staramy się wybierać takie miejsca, które dostępne są dla ludzi, może trochę na uboczu, tak jak w realizacji „Forrest structures” okolice plaży miejskiej, czy w „Olsztynie” opuszczona hala. Staramy się tak wybierać materiał i tak konstruować te kompozycje, aby wywołać efekt zaskoczenia. W lesie jesteśmy przyzwyczajeni do pionów drzew i nagle w tej przestrzeni pojawia się „pajęczyna z czarnych nici”, kompozycja niepasująca, zaskakująca. Działa to o wiele intensywniej niż w przestrzeni galerijnej. Przychodzając do galerii, jesteśmy przygotowani na tego rodzaju „zaskoczenia”. Większość tych instalacji demontujemy po kilku dniach. I tak jak nagle się pojawiają, tak i znikają. Oczywiście robię porządną dokumentację zdjęciową, czasami filmy. Cel został osiągnięty. Koniec. Takie działanie efemeryczne. Nie jesteśmy w stanie jej powtórzyć gdzie indziej, ponieważ już się zmieniają warunki, materiał, przestrzeń, emocje, ludzie.

I.B.-W.: Adamie, u Bartka te działania przekładają się na inne dziedziny sztuki, którymi się zajmuje. A jak jest u Ciebie?

A.C.: Z rzeźbą jest trochę inaczej, zajmuje więcej czasu. Działania takie, jak te realizowane z Bartkiem, możesz w malarstwie traktować jako szkic i dalej je ciągnąć. Ja traktuję je raczej jako kolejne doświadczenia związane z przestrzenią, którą wciąż badam. Szkice przestrzenne to rozważania do dalszej twórczości. Oprócz tego biorę udział w konkursach, np. ostatnia moja realizacja to rzeźba ks. Jerzego Popiełuszki – akcja w określonej przestrzeni (wnętrze kościoła) i o określonych wytycznych. Nie ma się wtedy aż tak wolnej ręki, ale jest to swojego rodzaju wyzwanie. Kontekst miejsca i sytuacji odgrywają tu ważną rolę.

I.B.-W.: Proszę, na zakończenie powiedzcie coś jeszcze o najbliższej Waszej wspólnej realizacji, którą zrobicie w trakcie III Festiwalu Improwizacji „Dzianie się” w Olsztynie.

A.C.: Chcemy podjąć temat Pomnika Xawerego Dunikowskiego, potocznie nazywanego Szubienicami, jako formy istniejącej w przestrzeni naszego miasta. Formy, która jest już trochę opatrzo-



„Punkt zwrotny” (Olsztyn)

na, każdy ją kojarzy, jest przyzwyczajony do jej kontekstu, do tych wielkości i ciężarów, które tam występują. Razem z Bartkiem chcemy – przy okazji festiwalu „Dzianie się” w ramach Olsztyńskiego Lata Artystycznego – to zmienić, jakby wykreować nowe wrażenie, nowy charakter tych brył. Nadać pomnikowi inny kierunek, inny ciężar, który wpisze się w tę otaczającą go otwartą przestrzeń. Pomnik Dunikowskiego ma formę otwartej bramy, my raczej jej nie zamknijemy, ale w inny sposób zmienimy jej kształt. Pójdziemy w inne bryły, w nowy sposób wpisujemy się w ten plac. Chcemy, aby po naszym „dzianiu się” widz zaczął odbierać całościowo tę przestrzeń. Tak ją podzielimy, zaburzymy, żeby trochę drażniła oko. Chcemy odbić się wrażeniowo od placu, gdzie są samochody, pokazać na nowo tę przestrzeń. Myśliliśmy także, żeby zadziałać światłem, ale to wszystko musimy jeszcze sprawdzić.

B.Ś.: Ze światłem trzeba na pewno uważać, żeby nie powstał jakiś chaos, musi ono przede wszystkim podbijać działanie. Tak jak w „Punkcie zwrotnym”, gdzie wprowadziliśmy tylko jeden kolor, który wzmocnił efekt konstrukcji. A wracając do przestrzeni, to w Bydgoszczy nastąpiło scalenie z placem, ta pajęczyna linii tak ładnie się wtopiła, że ludzie musieli przez nią przechodzić, zaburzyły się tradycyjne ciągi komunikacyjne. Podobnie chcemy zadziałać tutaj. Odbiorcy, który zobaczy tę instalację, zacznie jej brakować, kiedy spojrzy na Pomnik ponownie po jej demontażu. Może zmienić się odbiór tego placu.

A.C.: Może go zacząć denerwować, że stoją tam samochody, może zacznie odczuwać wartość przestrzeni, w którą pomnik jest wpisany, że jest ona potrzebna do innych celów niż parking.

I.B.-W.: Życzę Wam udanej realizacji oraz dalszej owocnej współpracy.

B.Ś.: A Adamowi życzymy, żeby założył konto na Facebooku (śmiech).

rozmawiała Iwona Bolińska-Walendzik

Artyści w internecie:

<http://leksykonkultury.ceik.eu> (Adam Cieślak), <http://www.swiatecki.pl>

WSPÓLNA POJEDYNCZOŚĆ * * * * *

POSTMANIFEST

Piotr Siwecki*

www.minimalbooks.blox.pl

Będzie mówił autor tego tekstu, ale jednocześnie ten tekst nie pozwoli autorowi mówić, a przynajmniej mówić tak, żeby autor czuł się w pełni komfortowo, chociaż celem tak autora, jak i tekstu jest przyjemność... przyjemność tekstu...

Będzie mowa o tym, co funkcjonuje w systemie naczyń połączonych. Będzie mowa o blogu, pojętym jako gatunek literacki i sposób myślenia, postrzegania świata***.**

Będzie mowa o blogu MINIMALBOOKS.

MINIMALBOOKS we wszystkich swoich inkarnacjach było i jest gestem narracyjnym, elementem długotrwałego performan- ce, dla którego naturalnym środowiskiem jest przestrzeń niejed- noznaczna pod względem ekonomicznym, socjologicznym, kulturo- wym i ideowym**.**

Publikacje na blogu MINIMALBOOKS są efektem współpra- cy twórców kojarzonych tak z obiegiem undergroundowym, jak i oficjalnym, mainstreamem. Celem jest stworzenie wspólno- ty, miejsca spotkania (... z jednej strony nieunikniony jest ele- ment lansu w tym rozumieniu, które poniekąd nawiązuje do sta- rej przecież formuły określającej artystę jako ekshibicjonistę, z drugiej zaś pojawia się w interpretacji tego, czym jest istnienie sie- ciowe, element równie dawnej, może nawet dawniejszej potrzeby spotkania z Innym...). Celem jest też wyzwolenie z ram narzucanych przez normatywny system bazujący na rozróżnieniu profesjonalista- -amator, którego prymarnym, choć nie wyrażanym wprost celem jest (tak z jednej, jak i z drugiej strony...) wprowadzanie ograniczeń w dystrybucji tematów i narracyjnych strategii***.**

Na MINIMALBOOKS.BLOX.PL publikują autorzy piszący teksty własne i dokonujący przekładów z języka angielskiego (głównie).

Publikacja na blogu MINIMALBOOKS jest jedną z form prezentacji, istnienia autora i tekstu. Inne działania to przede wszystkim „spo- tkania na żywo”, podczas których przedstawiane są poszczególne teksty, dyskutowana jest twórczość poszczególnych autorów...

Celem MINIMALBOOKS jest nieustanne istnienie pomiędzy...*****

* Jako że tekst niniejszy jest formą eksperymentalną, wykorzystującą rozmaite formuły, dzięki którym kształ- tuje się sieciowa obecność, obecność wspólnotowa, autor niniejszego tekstu postanowił stworzyć w tym drukowanym portalu swój profil (podobnie, jak to robi w Internecie). Niniejszy tekst jest także próbą stworze- nia modelu wypowiedzi, która nie budziłaby w formie drukowanej zastrzeżeń, tak jak nie budzi ich, kiedy ist- nieje w Internecie, łącząc elementy wypowiedzi auto- biograficznej, portfolio, CV, tekstu krytycznoliterackie- go, tekstu teoretycznoliterackiego. Dlatego tekst przy- biera kształt manifestu, w założeniu będąc prototek- stem, protoformą czy/i/lub posttekstem, postformą... i, chociaż można było to zapewne rozwiązać ina- czej, urywamy w pół zdania... klikamy i przechodzimy do notki (która tyle samo zakrywa, ile odsłania?): Piotr Siwecki *de se ipso ad posteritatem* w trzeciej osobie *und in da fri-formal stajli* (pisane w ten sposób dla nabrania dystansu): urodzony w 1971 roku w Olsztynie, gdzie mieszka i uczy języka polskiego. Autor książek nisko- nakładowych: arkuszy poetyckich, tomików opowiadań oraz powieści (*Zrozumieć Plichta*, *Hyper-Gender*, *Bios*). Za powieść *Bios* otrzymał wyróżnienie w konkursie Fun- dacji Kultury. Wiersze, opowiadania i recenzje publiko- wał w pismach literackich: „Akcent”, „Dekada Literac- ka”, „Borussia”, „Ha!Art”, „Portret”, „Pracownia”, „RED”, „Twórczość”, „Undergrunt” „OFF-Press Magazine” (*in English, online*). Wraz z Piotrem Makowskim (www.piotrmakowski.art.pl) – WAŻNE: właśnie ukazała się naj- nowsza, długo oczekiwana książka Piotra Makowskiego *Soundtrack* – tekst wielowarstwowy, poetycki i zarazem przed poezją uciekający... tekst, który niepokoi i właśnie dzięki temu daje energię, którą czytelnik będzie miał oka- zję okiełznać, jeśli nie podda się, jeśli zbierze się w sobie, bo walka będzie, rany będą... a potem ukojenie?... do nabycia w Olsztynie, ale ciii... to tajemnica Poli- szynela...), a więc wraz z Piotrem Makowskim przy- gotował monograficzny dział numeru 3(8)/1(9) (gru- dzień 2008-marzec 2009) pisma „RED”, poświęcony wybranym zjawiskom w najnowszej literaturze USA (ważny tekst Andrzeja Antoszka o książce Marka Danielewskiego). Jako tłumacz Siwecki brał udział w pracach nad antologią literacką opublikowaną przez londyńskie wydawnictwo OFF_Press (www.off-press.org/main/). Siwecki prowadzi literackiego bloga www.minimalbooks.blox.pl, (którego niniejszy manifest dotyczy), gdzie we współpracy z tłumaczami

Dorota d`Aystetten, Piotrem Leszczyńskim, Jakubem Michalczenią, Magdaleną Ochatek i Szymonem Żylińskim publikuje tłumaczenia najnowszej literatury amerykańskiej oraz teksty autorów polskich. Współpracował z Janem Pruskim w projekcie „Nowe pokolenia pamięci” (<http://sklodowski.pl/novepokolenia/pokolenia.html>). O tekstach Siweckiego pisali: Henryk Bereza, Kazimierz Brakoniecki, Marta Cuber, Bernadetta Darska, Zenon Fajfer, Grzegorz Jankowicz, Urszula Pawlicka, Krzysztof Unitowski, Bogdan Zalewski, Jacek Żebrowski. (...cóż, dobrnęło się do końca tego fragmentu... dziwne to uczucie pisać o sobie w trzeciej osobie?... tak jakoś... śmiesznie to brzmi?... smutne, że się samemu za takie pisanie bierze?... nie... bez przesady... ten gest, ten fragment, cały ten tekst na pewno zostanie zinterpretowany tak, jak Czytelnik będzie chciał go zinterpretować, a może raczej: jak pozwoli go sobie zinterpretować?... powiesz: tak, ale...).

**blog jako gatunek literacki należałoby definiować jako gatunek mieszany, wypadkową wielu gatunków, chociaż pewnie najbliższej większości blogów do tekstów o charakterze autobiograficznym, do listów, felietonów... to sprawa dyskusyjna, zresztą czy blog nazwać można gatunkiem, czy lepiej tego określenia nie używać... najsluszniejszym wydaje się traktować blog jako odmianę hipertekstu i dlatego można by chyba określać go mianem gatunku (literatury internetowej?... → czy Internet stałby się tym samym określeniem nowego rodzaju literackiego?)... Więcej o blogu i net-arcie patrz: Mark Amerika, <http://markamerika.com/web-writings> oraz <http://www.techsty.art.pl/>

***blog jako sposób myślenia, postrzegania świata to przede wszystkim nawiązanie do idei *collage*, do idei swobodnej ekspresji, do idei: każdy jest artystą (Joseph Beuys)... Blog to punkt, w którym gromadzi się energia, to punkt widokowy, to...

****formą testową był zbiór tekstów Piotra Siweckiego ogłoszonych pod wspólnym tytułem *BIOS* (2002). O życiu w takiej przestrzeni mówi także *Hyper-Gender* Piotra Siweckiego (Bohaterem *HYPER-GENDER* jest trzydziestoletni samiec-intelektualista, który, znużony natrętnym samczyzmem, szowinizmem, pracą pedagogiczną w dziedzinie literatury oraz życiem rodzinnym w kraju, który charakteryzuje jako totalitarny, decyduje się porzucić rodzinę i emigruje, postanawiając zrealizować swoje marzenie o przeistoczeniu się, o odmianie życia, o życiu w kraju, w którym wolno mu będzie być tym, kim chce. Bohater wyjeżdża do Niemiec, które są dla niego symbolem wolności. Przemiana bohatera dokonuje się dzięki operacjom plastycznym, ale jest to przemiana częściowa, ponieważ bohater nie potrafi, nie chce zrezygnować z dotychczasowych cech wyróżniających go jako mężczyznę. Jednocześnie, żyjąc w kulturze *queer*, bohater stara się swoją przemianę opisać w kategoriach ideologii, poszukując ludzi podobnych sobie. Znajduje ich wśród pisarzy, z którymi próbuje stworzyć manifest hyperintelektualizmu. Bohater żyje też w związku z kobietą, która stopniowo również ulega przemianie, ostatecznie pragnąc wyjechać do owego totalitarnego kraju, z którego pochodzi jej partner. W *HYPER-GENDER* fabuła podzielona została na dwie, uzupełniające się części, z których pierwsza ma charakter opowieści (*quasi*)realistycznej, zaś druga rozgrywa się w sferze snów, wizji, których poszczegól-

ne sekwencje stanowią swoiste przypisy do przygód opisywanych w części pierwszej. *HYPER-GENDER* jest fabularyzowaną refleksją na temat wszelkich przejawów ideologizacji życia, ale jest też refleksją na temat współczesnej sztuki czy szerzej – kultury. Pojawiają się tu symbole i stereotypy kształtujące kulturę europejską. Książka wykorzystuje strategię *collage*, mieszając rozmaite konwencje i stylistyki znane z historii literatury). Taką przestrzeń, traktowaną jako hipertekst, jest dla minimalbooks przestrzeń Internetu...

*****stąd związek MINIMALBOOKS, szczególnie w początkowej fazie (lata 90.), z Avant-Popem. Stąd uznanie synergii i dążenie do eliminacji antagonizmów...

*****istnienie we wspólnej pojedynczości...



Miss Baskerville

Piosenka niedługa. Rys. Ewira Iwaszczyżyn

Anna Rau

Nie bój się, nie umrzesz...¹ – powiedział Niezidentyfikowany Obiekt Latający. – Jestem taki jak ty...

Przewartościowanie istot duchowych w kulturze współczesnej

(ma marginesie książki *Tożsamość anioła* L.H. Zelman)

Ostatnie lata XX i początku XXI wieku zaowocowały szumnym wrotem do literatury wątków nadprzyrodzonych. Nurt beletrystyki wampirycznej w obecnym momencie trochę osłabł, ale uwaga pisarzy znalazła nowych ulubieńców – anioły jasnej i ciemnej strony², o czym świadczą liczne publikacje książkowe i internetowe, pisane w różnych językach świata. Jednak pierwotnie ogniste lub wietrzne, niemożliwe do jednoznacznego opisanego, potem słodkie lub straszne, malowane jarmarcznymi farbami Istoty, zmieniły się w byty z krwi i kości z bardzo konkretnymi potrzebami i zachowaniami. Co współczesna literatura zrobiła z aniołów i szatanów? Nie chodzi w tym bynajmniej o zmiany we współczesnej religijności, czy filozofii, lecz samą zmianę w obrazowaniu motywu anioła/szatana w beletrystyce oraz jakie to zjawisko przynosi konsekwencje.

Słowo „anioł” to zlatynizowana forma wyrazu *angelos*, który oznaczał po prostu posłańca – każdego (co w wypadku istoty nadprzyrodzonej określało wyłącznie jeden aspekt jej natury). To samo oznaczało hebrajskie słowo *malak*. Postaniec – „ucieleśnione-słowo-tego-który-śle-list”, „ucieleśnione-lustro-tego-który-śle-list”, „cień-tego-który-śle-list”. Postaniec sam w sobie, bez tego, który go posłał, nie znaczy nic. Tyle wiemy o aniołach. Wielokulturowa tradycja (jako że anioły pojawiają się w każdej religii świata) przydzielała je do istot „świętych”, co w języku teologicznym znaczyło po prostu „inny”. Wyobrażenia ludzka zaś na dźwięk wyrazu „anioł” podsuwa od razu obrazy człepopodobnych kurczaków – istot słodkich, różowych i puchatych – o czym „wiemy” dzięki różnorodnym świętym wizerunkom. A jednak taki byt to w całości wytwór popkultury – tylko że dawniejszej: długo- i złotowłosey młodzieniec z wielkimi łabędzimi skrzydłami; aniołek z odpustowego obrazka; putto na plafonie – goluśkie i z trąbką; panna w różowej sukni nad kładką. Oto wyniki procesu banalizacji Innego, czyli po stokroć Obcego – niemającego nawet ciała. Istoty nam – z ciałem i taką percepcją – trudno dostępne. Postać anioła stanowi więc totalną i absolutną zagadkę. Tajemnicę metafizyczną, czyli tajemnicę meta... Ach, wiemy jeszcze jedno: anioły należą do kategorii Światła albo Ciemności, Dobra albo Zła. Złe zwiemy szatanami lub diabłami. Co jest nam wiadome o Aniołach Ciemności? Pochodzące z języka hebrajskiego słowo „szatan” oznacza „przeciwnik”, a z greckiego „diabeł” – „oskarżyciel, oszczerca”. Znowu powtarza się sytuacja semantyczna z „posłańcem”...

Ogólnie wszystkie opowieści źródłowe, biblijne bądź inne o aniołach – i to zarówno tych jasnych jak i ciemnych, związane z kultem, raczej straszą niż napędzają otuchą, a to dlatego, że widać w nich, jak gigantyczne i silne, jak bardzo rażące zmysły ludzi środki wyrazu wybierały te istoty, aby się okazać³. Tak czy owak wszystkie wyżej wymienione przekazy nieodmiennie utrwały, iż pierwsze słowa aniołów do człowieka brzmiały: „Nie bój się”. Współczesna kultura

zmienia tradycyjną biblijną relację „człowiek-anioł” – w której ten drugi, służąc Bogu, w TEN sposób służył człowiekowi – całkowicie zmienia. Z pierwotnej koncepcji anioła – wolnej i niedostępnej naszej percepcji istoty nadprzyrodzonej – staje się on uciłowiczonym „czarownikiem”. Podobne zjawisko zaistniało w wypadku figury diabła. Biblijny Anioł Upadły, jako byt wyłącznie duchowy – enigmatyczny, więc również niespecjalnie podległy opisowi – obecnie zmienił się w miotanego bardzo ludzkimi emocjami, podobnego nam, tylko obdarzonego większą mocą „Złego Mężczyznę” (jako że szatan w popkulturze najczęściej – choć oczywiście nie tylko – jest rodzaju męskiego). W utworach literackich XXI wieku powoduje nim – i to też najczęściej stanowi diabelską słabość oraz załazek kolejnego zwycięstwa „Dobra” – nieopanowane pożądanie, ale (w przeciwieństwie do tego, jak je opisuje tradycja) biologiczne, połączone z różnego rodzaju bardzo ludzkimi uniesieniami: gniewu, złości i agresji. Całość postępowania szatanów literackich, bohaterów paranormalnych, dodajmy, można określić wyłącznie zachowaniem psychopatycznym, a nie istotnie diabolicznym. Taki literacki szatan budzi w czytelniku więc chęć obrony, odwetu (najczęściej z lekkim przymrużeniem oka) – a nie grozę – jak w dawnych wiekach. I nie chodzi tu bynajmniej o religijność współczesnych czy poziom ich wiedzy o świecie, lecz przemianą figury literackiej szatana. Jako zrozumiały i znany, niejako oswojony Szatan we współczesnych dziełach stracił nie tylko moc, ale i siłę rażenia. Już nie paraliżuje swoją niemożnością zobrazowania. Literaci, zamykając go w ramach człowieczeństwa, pozbawili zdolności paraliżowania grozą płynącą z Nieznanego i Nieopisywalnego – Nieskończenie Groźnego. Poza tym, co najważniejsze – podobieństwo w emocjonalności oraz jej wyrazie budzi we współczesnym człowieku odczucia wobec diabła niewyobrażalne w przeszłości kulturowej – czyli współczucie i zrozumienie. To naprawdę rewolucja. Wraz z odarciem z poczucia tajemnicy istoty nadprzyrodzone, zarówno te sprzyjające ludzkości, jak i negatywnie do niej nastawione, straciły więc również przynależność do sfery sacrum. Przyczyniły się do tego m.in. takie książki jak *Tożsamość anioła* L.H. Zelman...

Wszystko zaczyna się obiecująco. Czy ktokolwiek z czytelników mógłby wymienić jakąkolwiek powieść *science-fiction* lub fantasty autorstwa pisarza pochodzącego z regionu Warmii i Mazur? To bardzo trudne. Niemal niemożliwe. Lecz oto jest! – w 2011 r. „Nasza Księgarnia” wydała powieść *Tożsamość anioła* autorstwa Zuzanny Kasprzak z Barczewa (pseudonim L[idia].H[elena].Zelman). *Tożsamość...* to jej debiut. Główną bohaterką powieści jest Andrea Volton, kompletnie bezbarwna pod względem osobowości, cicha studentka enigmatycznego uniwersytetu. Otacza ją kilka całkowicie jednoznacznych – pięknych i rozrywkowych – koleżanek, które próbują dobrą i zaangażowaną w imponującą działalność dobroczynną Andree (pomoc w fundacji, w domu spokojnej starości,

w hospicjum) wciągnąć w wir życia studenckiego. Do tego nagle tą słodką i nieefektywną gołąbką zaczyna interesować się najprzystojniejszy w okolicy i najlepiej rokujący student ich roku, Kaspar Legrand. Jego intencje budzą uzasadnione wątpliwości dziewczyny, jednak w końcu porwana jego urokiem zaczyna odwzajemniać to uczucie. Kaspar prócz tego, że jest błyskotliwy i piękny, zachowuje się również czasem bardzo tajemniczo, co pogłębia zarówno zainteresowanie jak i zaniepokojenie Andrei. Gnębią ją prócz tego ponure wizje śmiertelnego wypadku rodziców oraz natrętnie pojawiający się obraz śledzącego ją, budzącego nieopanowane pożądanie, niesamowitego mężczyzny. Punktem zwrotnym akcji jest moment, gdy w niezwykle szybki sposób Andrea dowiaduje się (i akceptuje) podczas studenckiego wyjazdu, że nic nie jest takie, jak się wydawało – nawet ona sama. Ona jest aniołem – i to jednym z najwyższych stojących w hierarchii anielskiej, ukochany Kaspar oraz jej eleganckie przyjaciółki są istotami nadprzyrodzonymi (nefilim), zaś pociągający mężczyzna-upiór to sam szatan. I jednocześnie w tym momencie zwykły „studencki harlequin” zmienia się w... podwójnie kiczowaty harlequin, gdyż klasyczny motyw walki dobra ze złem wtłoczony w taką ramkę zaczyna w niej funkcjonować groteskowo. Poza tym filozofia anielska oraz swoista mitologia zaserwowana czytelnikowi na kartach powieści jest tak zagmatwana i wystylizowana „na język biblijny”, że podwójnie mąci jakoś wywodów literackich – i powoduje ostateczne zagubienie czytelnika. W tym też momencie wyjątkowo razi istotna wada konstrukcyjna powieści, błyskawiczny i brutalny przeskok z Części I książki do Części II. Pisarka bez jakiegokolwiek finezji fabularnej rozcina bowiem historię transformacją głównej bohaterki-„zwyczajnej dziewczyny” w „Anioła-Azathrę”. Konstrukcja akcji opiera się więc na zasadzie „przed” i „po”, a czytelnik nagle ze znanej codzienności wpada bez przygotowania w długie wywody na temat bytów boskich i spraw ostatecznych. Owe dwie części niezwykle się od siebie różnią stylem: o ile pierwsza może zaintrygować czytelnika i wciągnąć w fabułę (obyczajowość i wątki miłosne zawsze się sprawdzają), o tyle druga – patetyczna i pseudo-filozoficzna, rzuca jakość powieści na łopatkę. Wątek totalnej zmiany świadomości głównej bohaterki oraz uzyskania przez nią nieskończonej (w ścisłym tego słowa znaczeniu) perspektywy byłby może bardzo interesujący, ale transformacja Andrei z dziewczęcej owieczki w kobiecą panterę została zobrazowana w sposób bardzo jednoznaczny i bez polotu. Nawet wahania decyzyjne dziewczyny, obrazujące jakoby głębię jej kolejnych poczynań, ich dramatyzm i niewyobrażalne, globalne konsekwencje, u czytelnika nie wywołują zwyczajowej empatii, lecz przeciwnie – wzrastające rozdrażnienie. Potęguje to odczucie schematyczny rozwój akcji, który od samego zawiązania prowadzi ku nieuchronnej katastrofie. Biorąc książkę do ręki i widząc okładkową zapowiedź, która zdradza nam straszną prawdę o dalszych tomach cyklu – *Bezsenności anioła* oraz *Grzechach anioła* – już się wie, że ta historia po prostu NIE MOŻE skończyć się dobrze. I rzeczywiście: Andrea rozdarta przez grzeszną (w ludzkim rozumieniu) i zgubną (dla jej nieśmiertelnego bytu oraz całego świata) miłość (?) do szatana popełnia na końcu rodzaj samobójstwa. Szatan – opuszczony przez ukochaną – wpada w podwójnie diabelski wir nienawiści. Nefilim kompletnie opuszczony przez obie strony – jasną i ciemną – znika z kart powieści w enigmatyczny sposób... Ale właśnie! – w powieści Zelman pojawia się ten bardzo intere-

sujący i ogólnie mało wykorzystywany w literaturze wątek syna/córki anioła i kobiety śmiertelnej (czyli nefilim)⁴. Autorka sięga w ten sposób po samą Księgę Rodzaju⁵, gdzie opisane jest źródło tego typu historii⁶ (niestety w powieści jest to nakreślone we właściwy *Tożsamości anioła*, zawiślany sposób). Nefilim to najciekawszy spośród bohaterów, choć ogólnie zepchnięty na margines powieści, idealnie piękny i kompletnie bezradny wobec działań jasnego (Andrei) i ciemnego (Narthangela) anioła, Kaspar. To jedyna postać, która mimo kulawej konstrukcji może budzić autentyczne zaangażowanie czytelnika. Na końcu zostaje totalnie opuszczony – Zło się nim przestaje interesować, Dobro go porzuca. Oto tragizm i interesujące przewartościowanie postaw istot nadprzyrodzonych, które z natury powinny zgarniać ku sobie wszystkie elementy świata. W powieści Zelman anioł i szatan interesują się wyłącznie sobą, a ich działania koncentrują na przepychance miłosnej. Ów miłosny trójkąt, w którym jednak był zawarty spory potencjał – współzależność Kaspara-Andrei-Narthanela – czyli nowatorskie wykorzystanie figur anioła-diabła-istoty pośredniej, a nie tradycyjnie człowieka, został więc totalnie zmarnowany. Na kartach powieści kobieta-anioł bezustannie drży z pożądania, mężczyzna-diabeł jest wściekły z pożądania, a istota pośrednia miota się między jedną a drugim, pierwszą stale przepaszając a z drugim walcząc... Znów nieodparte skojarzenie z telenowelą brazylijską. Świetnie więc w tym mieści się figura Anioła-Andrei⁷, która na kartach powieści uosabia ikone wszystkich upersonifikowanych aniołów XXI wieku. Jej zmiana pod wpływem obudzenia się świadomości prawdziwej, duchowej jakości jej przedwiecznego bytu, sprawiła, iż stała się we władczą, skłoną do nieskończonych dywagacji filozoficznych kobietą (!), o rzucającej na kolana urodzie i mnóstwie cielesnych pożądań. Oto jakie jest nasze dzisiejsze pojmowanie anioła.

Książce Zelman trudno poświęcić więcej uwagi. Można się pokusić o stwierdzenie, iż jeśli już – taką uwagę poświęcą jej młodzi czytelnicy, zresztą do nich powieść najprawdopodobniej została adresowana. *Tożsamość...* budzi jednak wiele ciekawych refleksji – i to z pewnością stanowi jej atut. Z drugiej strony należy przypuszczać, iż w zamierzeniach autorki leżała powieść oscylująca między horrorem a religijnym *science-fiction*. Niedostatki literackie sprawiły, iż powstał kolejny harlequin, w którym bohaterka „tak bardzo chciała, żeby ją pocałował, że legł ostatni bastion oporu”. „Bastion” jak „Legion”. Imię jego Legion.

Zelman L.H., *Tożsamość Anioła*, Warszawa, Nasza Księgarnia, 2011.

¹ Księga Sędziów 6, 23.

² Nie należy zapominać, iż szatan to również anioł.

³ Stąd może płynąć wniosek, jak anioły „wartościują” naszą percepcję, skoro dobierają tak toporne i widowiskowe środki perswazji: płomienie, słupy światła, kolumny obłoków, morowe powietrze...

⁴ Podjęty np. w cyklu Mai Lidii Kossakowskiej (pierwsza z części *Siewca Wiatru*, Lublin, Fabryka Słów, 2004) czy trylogii *Dary Anioła* Cassandra Clare (pierwsza z części *Miasto Kości*).

⁵ Rdz 6, 1-4.

⁶ Kontynuowanych w mitologii i tradycji hebrajskiej oraz w apokryfach.

⁷ Trzeba też zaznaczyć, że autorka, konstruując tę postać, operowała dwiema semantykami słowa „anioł”: Andrea w swoim ludzkim wydaniu, przed transformacją, też była aniołem – w znaczeniu „szlachetny, dobry „człowiek-anioł”. Jednocześnie i wręcz nuząco dobra, altruistka, która ma gołębie serce i zero spontaniczności.

Zaklinanie nieobyczajowe

Ale mogę spróbować pokierować filią – taka właśnie była moja odpowiedź. Miałam wyjechać już za tydzień, a te siedem dni, które mi jeszcze zostały, przeznaczyłam na wstępne pakowanie się, robienie zakupów w sklepach odzieżowych i kosmetycznych, bo gdzie ja potem wszystko w tej Warszawie kupię, i omawianie spraw związanych z pilnowaniem mieszkania i mego kota, który już starzał się i był zupełnie niekłopotliwym futrzakiem. To ostatnie zadanie powierzyłam sąsiadce, do której miałam największe zaufanie. Miałam krótki urlop przed wyjazdem do nowego miejsca pracy i mieszkania, szef czuwał tu nad wszystkim, zalogowałam się więc na Naszej Klasie, przyjąłam wszystkie zaproszenia od moich dawnych uczniów oraz kolegów i koleżanek z liceum czy studiów i zajęłam się przeglądaniem zdjęć w galeriach. Przygrube kobiety, przysadziści panowie opowiadali mi o naszej wspólnej przeszłości. Ja też się zmieniałam, może miałam za dużo tu i ówdzie, ale mojej figury nie zdeformowały cięższe i porody. Wzajemnie pisaliśmy sobie jakieś komplementy w stylu: wyglądasz tak samo jak w liceum, nic się nie zmieniłaś. Niektórzy pytali, dlaczego mam panięskie nazwisko, skoro wyszłam lat temu wiele za mąż, wyjaśniałam, że nie mogłabym nosić nazwiska mężczyzny, który mnie zdradził, mówiłam o tym otwarcie już wtedy, bo przeszedł mi już ten wstyd niewyjaśniony. Współczuli, życzyli ułożenia sobie życia, a ja dziękowałam i mówiłam, że już je ułożyłam. I wtedy napisał do mnie Marek, mój pierwszy chłopak z czasów licealnych, wielka miłość, o której kiedyś myślałam często z sentymentem, ostatnio jednak już bardzo rzadkim, wręcz sporadycznym. Marek znalazł mnie na portalu i wysłał zaproszenie. Co u ciebie, jak się miewasz i takie różne, i wreszcie napisał, że mieszka i pracuje w Warszawie na uniwersytecie, wyklada socjologię i wiedzie życie szczęśliwe. Jak miło czytać coś od szczęśliwego człowieka!

Skoro mieszkasz w Warszawie, to możemy się spotkać, bo ja za kilka dni będę nowym narybkiem stolicy i spędzę w niej miesiąc w wynajętym mieszkaniu na Nowolipiu! Tak mu napisałam, nie wiem dlaczego. Nie miał zdjęcia w galerii, więc go poprosiłam, żeby umieścił, moje już widział, bo zamieściłam, smutne trochę, z książką, w okularach, bo ostatnio mój wzrok nieco podupał.

Po kwadransie już było i zobaczyłam po tyłu latach tamtego Marka,

który urzekł mnie kiedyś swoim niewinnym spojrzeniem, kiedy odsunął przede mną krzesło i zaprosił do swojej ławki. Miał oczy w kolorze bursztynu, nigdy takich nie widziałam u nikogo, dziś pomyślałabym, że nosi kolorowe szkła kontaktowe, wtedy jednak świat o nich nie słyszał. Wysoki, szczupły jeszcze w czasach liceum, teraz patrzył na mnie tymi samymi oczami, tylko w zmęźnialej już twarzy, otoczonej burzą falowanych włosów, zebranych w kucyk. Stał na tle morza i żółtego piasku, wysoki, z dodatkowymi kilogramami, które dodawały mu jednak jakieś męskości, dojrzałości. I przypomniały mi się nasze licealne spotkania, potajemne, skrywane przed klasą, chodzenie za rękę po ciemnym parku, zwiedzanie Starego Miasta, wszystko powróciło i zapachniało przeżyta młodością, która nie tak dawno jeszcze tętniła w moim życiu bezkarnie. Byłam jeszcze wtedy radosna i spontaniczna, nie stłumiona życiem z Antonim, nie bojąca się tego ciąglego „co ludzie powiedzą, czy to wypada, czy nie” i jaka jest prawidłowa kolejność życiowych planów. Marek był moim pierwszym mężczyzną, stało się to tuż przed maturą, kiedy byliśmy już dorośli i uznaliśmy, że to dobry czas na przypiecztowanie naszej miłości. Wyjechał do Warszawy, ja zostałam w mojej rodzinnej miejscowości podolsztyńskiej, która dziś stała się już dzielnicą miasta. Kto wie, co by się stało z nami, gdyby nie rozdzieliły nas studia?

Chętnie wyznaczyłam godzinę spotkania, zabierając na nie album ze zdjęciami z liceum. Co ubrać? Wiedziałam, że nie jestem z założenia

elegancka i wielkowiejska, ubrałam po prostu dobrze skrojone czarne spodnie z kantem, nadające się na każdą okazję i maskujące moje nadmiary tu i ówdzie, do tego wybrałam białą czarną tunikę, a włosy uczesałam w tak zwaną agatkę, zbierając górę i spinając ją z tyłu. Na to marynarka, torebka i buty na płaskim obcasie, bo do wysokich, hałasujących na chodniku, nie byłam specjalnie przywiązana. Makijaż codzienny, bez wysiłku, daleko mi było do tych warszawianek wprost spod pędzla... makijażyści! No i poszłam, a właściwie pojechałam, może niepotrzebnie, bo umówiliśmy się tylko kawałek od mej dzielnicy, pod kinem „Femina”. Ale w tej stolicy wszyscy jakoś jeżdżą i na przystanku mnie nawet ostrzegali, że to kawałek spory i lepiej podjechać.

cdn



Michał Biedziuk
(laureat Rzeźni nr 3)

Sprawozdanie z przebiegu konsultacji ws. budowy hangaru dla statków z Marsa

*Rampa to tam, to tam, to tam.
Rampa to tam, to tam, tam.
Rampa to tam!
Rampa to tam!
Rampa to, rampa to tam.*

Przedmiotem niniejszego sprawozdania jest opis spotkania z Mieszkańcami Miasta Łynogłazu w sprawie „**Przebudowy hali widowiskowo-sportowej na hangar dla marsjańskiego statku kosmicznego, wraz z budową ramp transportowych dla ludności**”.

Spotkanie prowadziła Pani Magda Pliszka.

Uczestnicy spotkania:

Prezydent Miasta Łynogłazu – Piotr Grzmiąkowski, Dyrektor Zarządu Komunikacji Indywidualnej – Paweł Jabóg, Z-ca dyrektora – inż. Zbigniew Świstek, Projektant – inż. Andrzej Podstołowy, Ambasador Marsa – Decimus KwaKWA, Mieszkańcy Łynogłazu.

Charakterystyka wariantów:

- **Wariant „2/3”** polega na przebudowie hali na hangar i budowę jednej rampy w stronę Śródmieścia. Według tego wariantu liczba mieszkańców miałyby zmniejszyć się do około 2/3 obecnego stanu.
- **Wariant „1/3”** polega na przebudowie hali na hangar oraz budowie rampy do Śródmieścia oraz kilku mniejszych ramp prowadzących do osiedli domków jednorodzinnych.
- **Wariant „zero”** zakłada przebudowę hali oraz budowę rampy do wszystkich osiedli.

Głos zabrał projektant, Pan Andrzej Podstołowy:

- Budowa ramp wiązać się będzie z koniecznością wyburzenia niektórych wysokich budynków na trasie ich przebiegu, a także z reorganizacją ruchu kołowego. Jednak miasto rozwiąże wszystkie problemy komunikacyjne, znacząco zmniejszone zostanie natężenie ruchu, potoki pasażerskie w komunikacji publicznej.

- Jednocześnie miasto odbuduje dzięki temu swój potencjał na rynku budowlano-mieszkaniowym bez potrzeby nowych inwestycji – tylko dzięki transakcjom na rynku wtórnym. Do budowy ramp zostaną wynajęte lokalne firmy, co także przyczyni się do wzrostu gospodarczego w regionie.

- W przeszłości wykonany był już testowy hangar w miejscu dawnego szpitala psychiatrycznego. Udało się wtedy odciążyć miasto ze znacznej liczby jego mieszkańców. Była to jednak inwestycja jednorazowa, konstrukcja nie zachowała się do dzisiaj. Obecnie planuje się cykliczne wizyty statków z Marsa, a więc po paru latach nie grozi

nam powrót do stanu z dnia dzisiejszego, czyli do miasta zapchanego, degradowanego przez dzikie inwestycje, nieprzyjaznego dla samochodów i ich ludzi.

Lista pytań i sugestii Mieszkańców.

Przewodniczący Rady Osiedla położonego w bezpośrednim sąsiedztwie hali zapytał, dlaczego dach hali musi otwierać się na bok w stronę bloków, co będzie wiązać się z koniecznością wyburzenia kilku z nich. Zapytał, dlaczego dach nie mógłby się otwierać nad ulicą. Na pytanie odpowiedział inż. Świstek:

- Otwieranie dachu hali nad czteropasmową, ruchliwą ulicą wiązałoby się z zagrożeniem ruchu dla poruszających się tam pojazdów. Znacznie bezpieczniej będzie wyburzyć część bloków. Zresztą mieszkańcy tych budynków zostaną przetransportowani do statku Marsjan jako pierwsi.

Uczestnik spotkania zadał pytanie o to, czy konieczne jest w ogóle budowanie ramp. Wyraził opinię, że przy technologii, jaką dysponują obcy – wskazał konkretnie na teleportację – budowanie ciągów komunikacyjnych w stronę hangaru nie będzie w ogóle potrzebne. Na pytanie odpowiedział dyrektor Paweł Jabóg:

- Zgadzam się, że w praktyce dysponując technologią teleportacyjną nie jest konieczne wprowadzanie żadnych dodatkowych rozwiązań komunikacyjnych. Gdy wybudowano testowy hangar w szpitalu psychiatrycznym, pensjonariuszy teleportowano bezpośrednio na miejscu. Było to rozwiązanie na miarę tamtych czasów. Dziś jednak nie mamy takiej swobody działania. Ograniczają nas przepisy bezpieczeństwa ruchu, dyrektywy, zarządzenia ministerialne i konwencje międzynarodowe. Ludzie nie mogą – ot tak – sobie zniknąć. Konieczne jest przygotowanie odpowiedniej infrastruktury.

Kolejny mieszkaniec Łynogłazu zadał pytanie o finansowanie inwestycji. Głos zabrał Prezydent Piotr Grzmiąkowski:

- Inwestycja powstanie w partnerstwie publiczno-prywatnym. Większość środków wyłoży imperium Marsjańskie. Musicie Państwo zrozumieć, że nie chodzi tylko o budowę hangaru i prowadzących do niego ramp. Oczywiście będzie się to wiązało z pewnymi niedogodnościami, dlatego proszę Was, Mieszkańców Łynogłazu, o udzielenie kredytu... Kredytu zaufania.

- Wiecie, co robi ten hangar? On odpowie żywotnym potrzebom całego społeczeństwa. To będzie hangar na skalę naszych możliwości. Czy wiecie, co my zrobimy tym hangarem? My otworzymy oczy niedowidziarkom. Patrzcie – powiemy – to jest nasze, przez nas wykonane i to nie jest nasze ostatnie słowo!

Po wystąpieniu Prezydenta na sali rozległy się brawa. Prowadząca spotkanie Magda Pliszka zapytała, czy ktoś chciałby je podsumować. Głos zabrał ambasador Marsa:

- Kwa kwa! KWA KWA!!! – a potem dodał – Rampa to tam, to tam, to tam. Rampa to tam, to tam, to tam. Rampa to tam! Rampa to tam! Rampa to, rampa to tam.

Zgodnie z ustaleniami z Inwestorem oraz poglądami i opiniami Mieszkańców Miasta Łynogłazu przyjęto do realizacji opracowania projektowego wariant „zero” koncepcji przebudowy.

Konrad Sierzputowski

(laureat Rzeźni nr 2)

MATKA POLSKA OD NARZEKAŃ

- Powiem ci, co mnie wk...a. Denerwują mnie szpitale. Ale tak mocno. Do gorączki. A przecież dobrze wiesz, że od gorączki blisko do zapalenia. Mniejsza, daj zajarać – odpala papierosa, zaciąga się, wydychuje z siebie dym. Schodzi z niej niczym powietrze z materaca. Kontynuuję.

- No a w tych szpitalach denerwują mnie ściany. Bo zamiast, jak ludzie, pomalować normalną farbą, nawet taką, na jakiej znać zacieki, to oni zawsze malują olejną. Spływa pofaciami po ścianach. Wiem, że to po to, żeby krew się łatwo zmywała, ale no bez przesady. Przecież nie zdarzają się nam amputacje codziennie. Za to codziennie widzę, jak spływa po ścianach farba olejna. Wk...a mnie to – zagasza papierosa. Popija herbatę. Sączy brutalnie.

- Bywam suką. To wiem. Ale jak mogę znieść szpitale, jak ja ciągle słyszę o in vitro? Kościołów też nie mogę już znieść. Ciągłe ingerują we mnie. Jak ginekolog. Wsadzają mi TE swoje chore teorie. Prosto we mnie. Jak wziernik i próbują rozepchać, i drażyć, i drażyć. A ja czuję, że jest mi potem ciągle mało komfortowo. Ja słucham i puchnę – gryzie pustą filizankę. Zerka na gazetę. I ja zerkam. Nie wzbudza we mnie emocji. Gazeta znaczy się.

- O nie. Ja nie chcę być modna – przytyka palec prosto w oko jakieś podrzędnej aktorki – Jestem sobą. Nie będzie mi tu byle kto mówił, kim jestem, jak ja już dokładnie wiem, kim do jasnej cholery jestem. Nie podobają mi się to. Mówią mi to w piosenkach, wiadomościach i gazetach. Czytam tam: „Chcesz być chuda – żryj szpinak!”, albo „Chcesz być jak celebrytka?” Jak jakaś pinda? Kupuj tylko to i to, a i koniecznie to. Nałóż krem. Najlepiej szpachlę. Ja już dokładnie wiem, jaka jestem. Nie musi mi tu byle specjalistka mówić, co mam robić. Co mi tu pani?! Tak do niej krzyczę. Znaczą do pani z gazety – aktorka ślepnie, gdyż traci oko. Pozostałości oka znajdują się pod paznokciem. – Boże, potrzebuję diety. Jestem taka naładowana i przepasała. To od tych informacji!

- I mówią. Ciągłe mówią. Ustatkuj się, znajdź męża. Zróbcie sobie dziecko. Spotykałam się z kilkoma. Zaczynało być poważnie. Mówię, że chcę dziecka, a oni spier...ą. I to szybko. Jeden był wymyślny. Nagle wymyślił, że jest bi, a może trans? Nie wiem. Jakieś modne pedalskie haselko. Jestem tolerancyjna, ale dzieci wychowywać nie pozwolę. Nie pozwolę wypaczać. Dziecko jest owocem miłości – jak mówią księża. Tudzież pękniętego kondoma, jak mawia Anka z trójki. Trzy razy im pękł. Trzy owoce miłości. Trzy miesiące na zasiłku. W dupie mam takie bajki!

- Postanowiłam dokonać samozapłodnienia. Jestem samotna, więc samotnie doprowadzę się do ciąży. Wszędzie in vitro. W kościele, w gazetach, telewizji. Pewnie nawet w osiedlowym Lewiatanie. Dziecko z próbówki. Dobrze, że nie ze stoika. Właśnie, mam chęć na korniszona! Patrz, jeszcze nie w ciąży a już zachcianki! – śmiała się długo. Tak spodobał się jej własny kawał.

- No i nie wiem, co robić. Czy jechać do Szwecji czy może do Austrii? Tyle się słyszy, no tyle się słyszy... A może ja chcę patriotę wychować, a co mi da ta sperma zagraniczna? Noblistę? No ja nie wiem, no Miłosz był niby Noblista? Boże. A jak ja córkę urodzę? Chryste, no boję się. Boję się strasznie. Boję się nagłej śmierci łóżeczkowej...

Krzysztof Kapinos

(laureat Rzeźni nr 1)

11

W soboty
zazwyczaj wstaję około jedenastej
wiele rzeczy wpływa na taki rozwój
zdarzeń

podobno kto rano wstaje ten dostaje
tak mówią
mówią też że premier ma na rękach krew prezydenta
ufać ludziom to głupie

odkąd
zobaczyłem Johny'ego Rottena
w reklamie masła
chodzę jakoś ospały

jestem Cristiano Ronaldo i w telewizji mówię po polsku

bywa
jakby napisał Kurt V
ktoś inny by napisał że to śmierć
ludzkiej myśli
obaj mieliby rację

każdy ma swoje zdania i hobby
system zachowań poprawnych
i nie

ja
w soboty zazwyczaj wstaję o 11

Rozwinięta miniatura z królem na pierwszym planie

Król Słońce poszedł na tron
nosi kapelusz
i jest anonimowym hipsterem
bo wszyscy jesteśmy teraz kontrkulturą
i wysypało punkami
znalezionymi w kinder-niespodziankach
„Masz karabin zamiast gitary”
!

Król Słońce bawi się na tronie
swoją awangardą
kształtując w masę
zbiór oderwanych od rzeczywistości
fraz słów znaczeń liter

Marcin Makowski

(laureat Rzeźni nr 2 i nr 5)

ZAKAZANE PIOSENKI

- To będą tematy, na które nie będziemy rozmawiać – mówi Weronika i rozwiesza arkusz białego papieru na ścianie pokoju – albo trudne tematy, takie niepewne grunty, rozumiesz?

Czerwonym markerem, to jest tym, który ma oznaczać absolutny zakaz, wypisuje słowa takie jak: dzieciństwo, rodzice, moje ciało. Dalej pomarańczowym markerem znaki ostrzegawcze: prowadzenie pod wpływem alkoholu, uszkodzenie ciała, inni mężczyźni. Mam wrażenie, że brakuje tu tylko paragrafów. Kuca przysiadając na piętach i na zmianę czerwonym i pomarańczowym dopisuje kolejne słowa coraz to mniejszymi literami. Niektórych liter nie jestem w stanie zupełnie rozczytać. Pewnie dowiem się tego w swoim czasie, taki paragraf-niespodzianka

- To ma znaczenie, rozumiesz? Przeszłość, wszystko się kojarzy i emocje, rozumiesz?

Kiwam głową, że tak, że rozumiem, przeszłość, że wszystko się kojarzy. Przecież nie chcemy niepotrzebnych skojarzeń, wspomnień z odległych czasów. Właśnie po to je zapisujemy teraz, żeby nie musieć o nich pamiętać. Będą sobie spokojnie czekać, gotowe do użycia w razie potrzeby.

Drugi arkusz, to ten na rzeczy, których nie będziemy robić razem. Trzeci to te, których nawet sam robić nie mogę. Czwarty – na to, co muszę, potem *dress code*, później przestaję przyswajać i po prostu wychodzę zrobić sobie kawę. Gdy wracam, wszystkie ściany zapisane. Pewnie to kiedyś przeczytam, tak jak Prousta albo encyklopedie Oksfordu.

Weronika zdmuchuje kosmyk włosów z przepoconego czoła, z dumą rozgląda się po pokoju i mówi:

- Mogłam rozwiesić te po poprzednim, ale rozumiesz.

Jasne, rozumiem. Zastanawiam się tylko, czy chodziło o tego, który dosypał jej czegoś do drinka, czy tego z tatuażem na dłoni. Kwestia rąk jest zresztą wyszczególniona w zupełnie innym miejscu. Czytam, że muszę dokładnie golić całe dłonie i przedramiona.

- Bo wiesz, ojciec, całe takie miał włochate i jak przychodził wieczorami, to wiesz, rozumiesz?

Tak, rozumiem, nie przychodzić wieczorami. Wszystko jasne, czemu nie, myślę sobie, obserwując, jak Weronika powoli zdejmuje z siebie kolejne części ubrania – żeby nie było niejasności, to powinienesz robić to właśnie w takim tempie. Może być jeszcze wolniej, jeżeli chcesz, ale mi wystarczy tak.

Rozbiera się do końca i podaje mi niebieski marker. – Nie dam rady na plecach – tłumaczy. Po kolei zaznaczam kręgami linię poniżej barków, środek pleców, drobne rejonny. Weronika odwraca się i napinając fragmenty skóry, nanosi jak chirurg następne demarkacje. Mówi, że jeżeli chodzi o nacisk, siłę, to wszystko mi to wytłumaczy,

żeby nie było niejasności, już w trakcie, to jest między dwunastą a szesnastą, jak już zaczniemy. To najmilsze godziny, wtedy mogę nawet dotykać rejonów pomalowanych na pomarańczowo.

Nie wolno mi też używać gum do żucia, ani mocnych miętowych past do zębów – Wiesz, Sebastian – tak, wiem, Sebastian. Miły facet, zawsze z odświeżaczem. Jemu zawdzięczam ręce pokreślone na czerwono. Imię Sebastian i parę innych widnieje oczywiście na liście tematów zakazanych. Z ulgą odnotowuję tam brak mojego imienia.

Przez najbliższy tydzień osuwam się z każdą granicą. Pilnuję się w myślach, mowie, uczynkach i zaniedbaniach. Dbam o moje *happy hours* przed szesnastą. Jest coś ekscytującego w każdej barierze, której trzeba się pilnować, w skupieniu, jakie należy temu poświęcać. Wszystkie arkusze i kolory znam na pamięć. Zielone i niebieskie możliwości w każdy sposób zostały już wykorzystane. Nie było zresztą tego zbyt wiele. Nie przestaję myśleć o reszcie, zwłaszcza o tej czerwonej, która rzuca mi się w oczy coraz częściej. Korci mnie, aby pozamieniać kolory, przepisać zupełnie na odwrót. Na razie jednak skupiam się na pustym miejscu w rogu pokoju. Zawieszam tam niewielką kartkę i zaczynam zapisywać czarnym markerem: większe piersi, uprawia seks oralny, nieuszkodzona.

Większość to przymiotniki. Zastanawiam się nad tytułem tej listy. Jeszcze nie wiem do końca, ale to byłoby coś w stylu: Odejdę, gdy spotkam kogoś kto...

Tak, żeby nie było niejasności.

Michalina Janyszek-Kujawa

(laureatka Rzeźni nr 3)

list do materiału językowego

*ta suknia boli, węże jej płatków wciąż są silne
nie mogę ich rozewrzeć*

Tamara BeJot

fa(s)t(r)ygowałeś się do słów *jest czasu dzianina i tykanina* dobrze leżący krój pod wybornym strzałem jak kraj ostry i kończący się z własnej nieprzymuszonej granicy z jej niezawistych szlabanów i osobistych rewizji zbieramy na przeszłość żeby puściła się w opłaczalnym kącie i poczęła rozkład świateł (cię)żarówki na nowe fotele i stoły z tak powyłamywanym zębami że nie mogą już znieść karmy

ta nas (sma)kuje przeciągając słowa przez ucho po usta(wa)ch bez głosu poparcia jest nam dane być na miarę (u)brania mając w sobie po łokcie po kostki w osobistej szczęce zacisnąć i tego co dla niej wlecze nitkę



VII OLSZTYŃSKIE BIENNALE SZTUKI

Patronat honorowy:
Prezydent Miasta Olsztyn,
Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego
Sponsor: PGNiG S.A.
Współorganizator: Związek Polskich Artystów Plastyków, Oddział w Olsztynie

„Olsztyńskie Biennale Sztuki” to prezentacja twórczości artystów środowiska olsztyńskiego oraz regionu warmińsko-mazurskiego. Bardzo ważnym zadaniem biennale jest aktywizacja miejscowego środowiska artystycznego, konfrontacja postaw twórczych, a także zaprezentowanie publiczności olsztyńskiej stanu rodzimej sztuki. Możliwość rywalizacji, jaką dają zmagania konkursowe, stanowi dla uczestniczących w konkursie dodatkowy doping do tworzenia prac specjalnie na biennale. Różnorodność mediów sprawia, że wystawa pokonkursowa jest ciekawym przeglądem technik stosowanych współcześnie przez artystów.

Nadesłane na biennale prace ocenia za każdym razem niezależne jury, niezwiązane ze środowiskiem olsztyńskim, złożone z uznanych artystów – profesorów akademii sztuk pięknych, a także historyka i krytyka sztuki. Prace oznaczone są godłem, co gwarantuje obiektywną ocenę prac. Na konkurs wpłynęło 217 prac 70 artystów, jury wybrało 81 prac 50 artystów do prezentacji w wystawie pokonkursowej.

Jury:

- prof. Janusz Akermann (przewodniczący) – artysta grafik, ASP Gdańsk
- prof. Wojciech Cieśniewski – artysta malarz, ASP Warszawa
- dr Jacek Kucaba – artysta rzeźbiarz, Prezes ZPAP, ASP Kraków
- Paulina Rymkiewicz-Kalinowska – krytyk i historyk sztuki, Galeria Narodowa Zachęta

Laureaci:**Grand Prix****Medal Prezydenta Miasta Olsztyn:**

Anna Drońska

z cyklu „Opuszczone” – „Odzyskane – Obraz 2”, 2009, techn. własna mieszana, 160x200 cm

z cyklu „Opuszczone” – „Odzyskane – Obraz 3”, 2011, techn. własna mieszana, 160x200 cm

I Nagroda – Nagroda Specjalna Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego:

Weronika Tadaż-Królikiewicz

„Pęknięcie”, 2009, rys. ołówek, papier, 100x150 cm

„Ściana”, 2009, rys. ołówek, papier, 100x150 cm

„Wejście III”, 2011, rys. ołówek, papier, 100x150 cm

II Nagroda – Nagroda ZPAP:

Robert Listwan

„Warsztaty z umierania”, 2011, akryl, płótno, 200x155 cm

III Nagroda – Nagroda PGNiG S.A.:

Iza Jaśniewska

z cyklu „Bleu clair” – I, 2010, grafika, 45x32 cm

z cyklu „Bleu clair” – IV, 2010, grafika, 45x32 cm

z cyklu „Bleu clair” – IX, 2010, grafika, 45x32 cm

Wyróżnienie:

Maja Baranowska

„Wędrujące XLIII”, 2011, kolograf, 100x70 cm

Wyróżnienie:

Monika Kurmin

„The moment I'll never forget”, 2010, techn. mieszana, 2x 24x30 cm, 2 x 30x40 cm

Wyróżnienie:

Maja Siecińska

„Między słowami”, 2009, fotografia, 100x70 cm

„Między słowami”, 2009, fotografia, 100x70 cm

„Między słowami”, 2009, fotografia, 70x100 cm

Wyróżnienie Honorowe Prezesa ZPAP:

Barbara Lis-Romańczuk

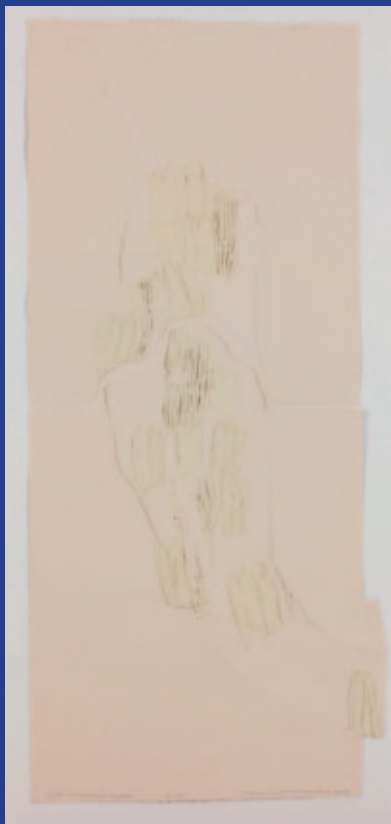
„Zdążyć poniewczasie”, 2010, balir, 132x70 cm



Iza Jaśniewska



Robert Listwan



Barbara Lis-Romańczuk



Monika Kurmin



Maja Baranowska

Wystawa pokonkursowa prezentowana była w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Olsztynie od 2 czerwca do 3 lipca 2011 r. Uczestnicy wystawy: Tadeusz Balakier, Maja Baranowska, Bogdan Bartkowski, Joanna Bentkowska-Hlebowicz, Jerzy Wojciech Bielecki, Małgorzata Bojarska-Waszczyk, Iwona Bolińska-Walendzik, Małgorzata Chomicz, Waldemar Cichoń, Andrzej Cisowski, Iwona Dombek-Rybczyńska, Piotr Dondajewski, Anna Drońska, Zygmunt Droński, Dawid Gołębiowski, Marzena Huculak, Izabella Janiszewska-Obarek, Iza Jaśniewska, Małgorzata Kadelska, Dorota Kęstowicz, Barbara Kucharska, Violetta Kulikowska-Parkasiewicz, Adam Kurlowicz, Monika Kurmin, Renata Kurmin, Barbara Lis-Romańczukowa, Robert Listwan, Joanna Milewicz, Piotr Obarek, Paweł Piłat, Ewa Plichta-Lubieniecka, Joanna Rostańska, Maja Siecińska, Tomasz Sienkiewicz, Marcin Sobczyk, Artur Sobieszek, Leszek Sokoll, Aleksandra Stolla-Kawaler, Marek Szczęsny, Małgorzata Szmidt-Tuszyńska, Weronika Tadaż-Królikiewicz, Joanna Tomaszewska, Marta Turek, Zbigniew Urbalewicz, Wiesław Wachowski, Julita Wiench, Aleksander Woźniak, Marian Zieliński, Renata Zimnicka-Prabucka, Bogdan Żukowski.

Biennale towarzyszy barwny, obszerny katalog z prezentacją wszystkich uczestników wystawy oraz tekstem Pauliny Rymkiewicz-Kalinowskiej – krytyka i historia sztuki (Galeria Narodowa Zachęta).

Patronat medialny:

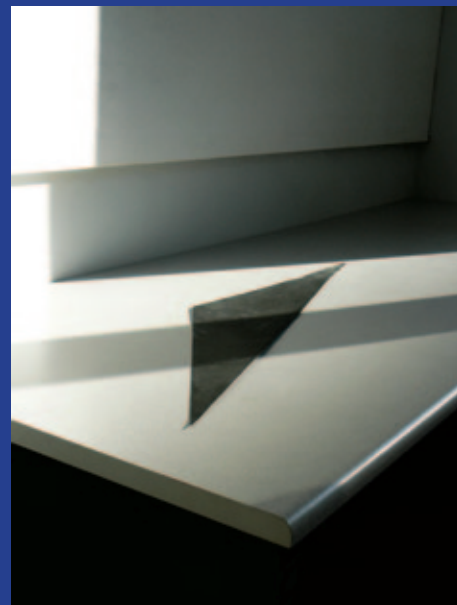
TVP Olsztyn, Telewizja Olsztyn, „Gazeta Olsztyńska”, Polskie Radio Olsztyn, Olsztyn24.com, Artinfo.pl

BWA Galeria Sztuki

Al. Marszałka J. Piłsudskiego 38
10-450 Olsztyn
tel. (89) 533-51-08
www.bwa.olsztyn.pl



Anna Drońska



Maja Siecińska

Ogólnopolskie Spotkania Zamkowe „Śpiewajmy Poezję” to jeden z najstarszych i najbardziej prestiżowych konkursów, adresowanych do młodych, debiutujących wykonawców tego gatunku. Impreza brandowana charakterystycznym granatowym gołąbkim stanowi ważny i rozpoznawalny znak regionu i markę produktu, który od lat jest doceniany w kategorii kluczowych imprez kulturalnych w kraju i popularnych wakacyjnych tras turystycznych. Tegoroczna, już trzydziesta ósma edycja tradycyjnie i niemal niezauważalnie dla masowego odbiorcy rozpoczyna wakacje na Warmii i Mazurach z koncertami w Olsztynie, Szczytnie i w Bartoszycach. Co roku na Spotkania Zamkowe przyjeżdżają zarówno oddani słuchacze koncertów, jak i młodzi ludzie, którzy dopiero poznają poezję śpiewaną i jej znaczenie. Impreza przez lata była poddawana surowej programowej krytyce, jednak widoczna i odczuwalna potrzeba jej obecności skutecznie – jak dotąd – zamyka dyskusję nad celowością jej istnienia. Wyjście poza mury olsztyńskiego zamku było jednym z pomysłów na poszerzenie formuły Spotkań i impreza w swym nowym kształcie okazała się sukcesem. To niezaprzeczalnie początek zmian w konstrukcji festiwalu.

Od lat główne koncerty goszczą na dziedzińcu olsztyńskiego zamku. To miejsce chyba najbardziej utożsamiane z imprezą i nikt już nie wątpi w silny związek między kopernikowskim gotyckim zamkiem i wciąż nienazwaną wartością Słowa. Pozostała olsztyńska część festiwalu realizowana jest na terenie Starego Miasta. W tym roku uruchomione zostały dodatkowe trzy punkty koncertowe, między innymi Scena Staromiejska, na której zawsze lubiany Czerwony Tulipan codziennie przedstawia Przeboje Piosenki Poetyckiej, a turyści i mieszkańcy mogą poznać swe możliwości wokalne, śpiewając najbardziej znane utwory wspólnie z zespołem.

Malta Cafe to względnie nowy punkt koncertowy na olsztyńskiej Starówce. Restauracja, która ma w swej karcie wyłącznie włoskie dania, próbuje od jakiegoś czasu włączyć się w życie artystyczne naszego miasta i systematycznie zaprasza znakomitych gości na klimatyczną scenę usytuowaną w piwnicach budynku. To tam, w atmosferze przypominającej krakowską Piwnicę pod Baranami, w ramach Spotkań Zamkowych wystąpią ci, którzy w Olsztynie pojawiają się pierwszy raz. To też miejsce, które pełni rolę Klubu Festiwalowego. Do tej pory w Olsztynie nie było tradycji istnienia Klubów Festiwalowych. Liczymy, że przy okazji naszej imprezy taki zwyczaj powstanie i nocne „pokoncertowe” rozmowy widzów z artystami staną się obyczajem festiwalowym.

Ponadstuletnie kino Awangarda niebawem zniknie z mapy kulturalnej naszego miasta. Miejsce przez niektórych uwielbiane, przez nie-licznych lekceważone, czasem wręcz niedoceniane jest tym punktem miejskiego życia artystycznego, którego kiedyś w Olsztynie

zabraknie bardziej niż popularnego multipleksu czy modnej restauracji. Spotkania Zamkowe już dwa lata temu gościły w Awangardzie, realizując filmowe wspomnienie o Włodzimierzu Wysockim. Kino okazało się gościnnym miejscem i stąd pomysł, by to w nim wystąpili między innymi „wczorajsi” laureaci konkursu Spotkań w cyklu nazwanym Awangardą Bardów. Traktujemy tę inicjatywę jako swoiste pożegnanie naszej imprezy z tym magicznym kinem.

Podstawowym, niezmiennym od lat celem Spotkań Zamkowych jest promocja najzdolniejszych artystów młodego pokolenia. Tytuł laureata konkursu Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję” otwiera utalentowanym młodym ludziom drogę do dalszej kariery. Impreza ta pełni bowiem szczególną i wyjątkową rolę w ich późniejszym dojrzałym artystycznym życiu, czemu niejednokrotnie dają zresztą publiczny wyraz. Kiedyś pod lipą stojącą na dziedzińcu zamku położonego w centrum Starego Miasta spotykali się wielcy nieobecni – Agnieszka Osiecka, Marek Grechuta, Jacek Kaczmarski. Dziś zaglądają tu także Anna Maria Jopek, Beata Tyszkiewicz, Magda Umer, Kinga Preis, Katarzyna Groniec, Mirosław Czyżykiewicz, Andrzej Poniedziałki, Jan Wołek, Grzegorz Turnau, Zbigniew Zamachowski, Piotr Bukartyk i wielu innych. Dziś, choć lipy już nie ma, ta impreza to wciąż miejsce niepowtarzalne, z atmosferą, którą znajdziemy tylko w Olsztynie. Wychodząc naprzeciw potrzebom miłośników muzyki z kręgu Krainy Łagodności, w oparciu o nowoczesne technologie będące znakiem naszych czasów stworzyliśmy miejsce Spotkań dla wszystkich tych, którzy nie mogli uczestniczyć bezpośrednio w koncertach. Takim miejscem jest... Internet. Nasza obserwacja aktywności kulturalnej młodzieży wykazała, że rozwija się ona zdecydowanie w kierunku aktywności multimedialnej, której w coraz większym stopniu towarzyszy ograniczenie korzystania z innych środków pozyskiwania informacji – prasy, telewizji, radia. Rosnące oczekiwania społeczeństwa w zakresie jakości usług i informacji dostarczanych drogą internetową skłoniły CEiIK do wprowadzenia nowoczesnych rozwiązań informatycznych w budowaniu nowych więzi. Kultura jest istotnym elementem rozwoju społeczeństwa, a Internet to medium powszechne i wyjątkowo konsumpcyjne, więc podjęliśmy ryzyko. Postanowiliśmy też przy okazji pomóc naszym laureatom. Dzięki wsparciu pozyskanemu z funduszy europejskich oraz inicjatywie Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie, organizatora Spotkań Zamkowych, powstało multimedialne archiwum konkursu Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję”. To jedno z działań trwającego projektu o nazwie Parkowa 2.0 mającego w zamyśle ułatwienie widzom orientację zarówno w propozycjach naszej placówki, jak i dostęp do oferty kulturalnej naszego regionu. Stworzenie takiego archiwum w praktyce oznaczało żmudną digitalizację zasobów CEiIK-u – plakatów, dyplomów, fotografii, redagowanie list wyko-

Literatura w Internecie?

Wojciech Bauer

Moje odczucia są dość ambiwalentne. Z jednej strony Internet to nowe medium, które zwłaszcza dla pokoleń wstępujących w obcowanie ze słowem pisanim coraz bardziej wypiera inne nośniki i są całe populacje (i coraz ich więcej), które poza Internetem nic innego nie przeczytają, jeśli więc tą drogą można do nich dotrzeć, to należy to zrobić. Z drugiej strony Internet ze swej natury równoprawnie dostępny jest dla wielkich dzieł oraz dla grafomanii. Klasykzna publikacja „papierowa” posiadała jednak potężne filtry w postaci profesjonalnych wydawców, redaktorów, a wreszcie czytelników, którzy głosowali portfelami w księgarniach. Przy wykorzystaniu Internetu ta forma weryfikacji jakości słowa praktycznie zostaje zmarginalizowana, nawet jeśli da się ująć w jakieś sensowne ramy sprawy związane z prawami autorskimi, honorarium, płaceniem za korzystanie itd. W mojej opinii jeszcze przez dłuższy czas Internet pozostanie miejscem publikacji tekstów drugorzędnych, niedocenionych i nie mających szans na wydanie. Owszem, będą trafiać się nonkonformistyczne rodzynki, ale raczej na marginesie głównego nurtu literatury. Wróżę Internetowi w tej dziedzinie rolę informatycznego Hyde Parku raczej niż miejsca konsumpcji wartościowej sztuki. Co oczywiście nie wyklucza pojawiania się tu dzieł wybitnych i wartościowych. Tylko kto je z tego szumu wyłowić?

Krzysztof Beśka

Literatura w Sieci. Owszem! Ale tylko jako forma promocji tradycyjnych nośników, czyli książek i periodyków. Jestem i najprawdopodobniej zostanę tradycjonalistą pod tym względem. Książka musi mieć swoją wagę, grubość, zapach, winna wydawać dźwięk, szelest przewracanych kartek. E-booki? Owszem, ale, w mojej ocenie, jeszcze wiele wody upłynie, nim wyprą tradycyjną książkę. Codziennie widzę, jak kobiety usiłują wepchnąć „cegły” Larssona do swoich małych torebeczek – i zawsze im się to udaje! A zatem – promocja, reklama, szum wokół dzieła. Bo nikt książki nie kupi, jeśli jej okładka czy nawet fragmenty nie znajdą się wcześniej w Internecie – już to w księgarniach internetowych, już to na portalach społecznościowych, gdzie można ją promować na profilu autora, bądź założyć profil oddzielny. Również autor bez swojej strony www albo przynajmniej bloga dziś nie istnieje. Kiedyś życie intelektualne toczyło się w kawiarniach, potem przeszło na wyższe uczelnie. Dziś dyskusja toczy się w sieci, przynajmniej jej część. Inna rzecz to problem, w jaki sposób zaklasyfikować, jak wpisać do bibliografii recenzje książek, które istnieją li tylko w sieci. Czy istnieją już jakieś przepisy w tej kwestii? Jest też niewątpliwie Internet miejscem, gdzie mogą się pokazać debiutanci, swego rodzaju przedsiönkiem, półką skalną w drodze na Parmas. Ale tylko jeden na dziesięciu będzie mógł iść dalej i wyżej, zadebiutować jako autor książki pachnącej drukarską farbą.

nawców, laureatów, realizatorów imprezy oraz składów jurorskich. Należało to uzupełnić zakupionymi licencjami na radiowe nagrania dźwiękowe oraz telewizyjne zapisy Koncertów Laureatów. Niby nic wielkiego, ale... Właśnie! Tu wróciliśmy do punktu wyjścia. Aby powstała taka ogólnodostępna skarbnica multimedialnej wiedzy o festiwalu, należało odszukać wszystkich, których dotyczyło to przedsięwzięcie – uczestników konkursu. Przez wiele miesięcy trwały nerwowe poszukiwania czasem zapomnianych laureatów, ich danych kontaktowych, nawiązywanie kontaktu, odszukiwanie istotnych szczegółów ich ówczesnego pobytu w Olsztynie oraz przekonanie wszystkich o niekomercyjności projektu. Okazało się, że więź dzisiejszych dojrzałych już artystów z Olsztynem i miejscem ich debiutu lub artystycznego wybuchu jest na tyle silna, iż nie trzeba było nikogo przekonywać o celowości działania. Istotną rolę grał tu jedynie czas. Nadsyłane zdjęcia, dźwięki, umowy, udzielane licencje okazały się poniekąd wspomnieniami lat ubiegłych i jednocześnie tęsknotą za tymi czasami bezwzględnie już minionymi, które – mimo konotacji – dziś potwierdzają zasadność projektu. Godziny spędzone w archiwum Radia Olsztyn czy Telewizji Polskiej S.A., liczne rozmowy telefoniczne oraz wymiana korespondencji zaowocowały wiadomościami, które obecnie można zweryfikować na www.spiewajmypoetje.pl w zakładce Archiwum. Powstała unikalna w skali kraju witryna, która niebawem będzie również najbogatszym centrum wymiany myśli, wrażeń oraz w przyszłości być może spełni rolę portalu społecznościowego. Przedsięwzięcie jest wybitnie ambitne i ma na celu wyłącznie promocję dokonani i dorobku naszych laureatów, ich nazwiska oraz festiwalu. Zakładamy, że po zakończeniu każdej kolejnej edycji festiwalu multimedialne archiwum wzbogaci się nie tylko o zasoby organizatora, ale również o te, które zostaną dostarczone nam przez widzów oraz wykonawców. Liczymy również, że nasze archiwum stanie się podstawowym źródłem wiedzy o tej imprezie i laureatach konkursu, których korzenie artystyczne sięgają olsztyńskiego zamku i wzmocni przekonanie o wyjątkowości Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję”.

„Śpiewo-Kręgi” – synergia muzycznych tradycji

Marcin Wawruk

Kiedy w maju 2010 roku olsztyński zespół wokalny ProForma przygotowywał się do swojego pierwszego koncertu z legendarnym wokalistą Bobbym McFerrinem, nikt z nas – wokalistów ProFormy – nie przeczuwał, że to doświadczenie w nieoczekiwany sposób zmieni naszą codzienną praktykę i wizję uprawiania muzyki.

Podobnie jak inne zespoły chóralskie zwykliśmy przygotowywać wybrane utwory, korzystając ze szczegółowo rozpisanych partytur. Wszystkie melodie, rytmy, tempa, plany dźwiękowe są tam precyzyjnie określone przez kompozytora i po opanowaniu przez wykonawców zostają w danej interpretacji ustalone w zasadzie „na zawsze”, podlegając czasami nieznacznym korektom. Trudno mówić o radosnej spontaniczności śpiewaków podczas koncertu, na którym utwory powtórzone po raz kolejny niewiele różnią się od wykonania premierowego... Powszechna wśród muzyków dawnych epok umiejętność improwizacji obecnie kompletnie zanikła, więc współczesne zespoły bazują wyłącznie na tradycyjnym repertuarze koncertowym, nieprzewidującym odstępstw od zapisu partytury, a wysiłek zespołu przenosi się na dopracowanie detali brzmieniowych i strony wyrazowej powtarzanych pieśni. Niestety, perspektywa żmudnej, benedyktyńskiej roboty nad utworami nie przysparza tej formie muzykowania zbyt wielu entuzjastów, a i tym nielicznym, którzy już się w to bawią, nie zawsze wystarcza cierpliwości, żeby zadbać o wysoką jakość swoich produkcji. Przeciętnemu zjadaczowi chleba muzyka chóralska kojarzy się zatem z zawodzącymi smętnie parafianami w wieku emerytalnym albo z infantylnymi piosenkami w żalonym wykonaniu chóru z lokalnej szkoły. W okresie postmodernistycznych, globalnych zmian w kulturze, w epoce internetu i technologii cyfrowych ten obszar kultury muzycznej jawi się więc jako skansen nudnych, przestarzałych form i treści bez widocznych perspektyw na rozwój.

Spotkanie z Rogerem Treecem, amerykańskim kompozytorem i wokalistą, który miał dyrygować zespołem ProForma podczas koncertu z Bobbym McFerrinem, otworzyło przed nami możliwość penetrowania zupełnie nowych obszarów muzyki. Zaczęło się ono od muzycznej zabawy, polegającej na powtarzaniu przez podzielony na cztery głosy chór improwizowanych, prostych motywów melodycznych podawanych przez Rogera. Te krótkie motywy, powracające cyklicznie w każdym głosie, zaczęły wiązać się ze sobą w formę wielogłosowej pieśni o niespiesznej narracji. Trudno byłoby ułożyć je w jakiejś określonej stylistyce, a jednak brzmiały znajomo, afroamerykańskiej, czasem nawet współczesnych list przebojów, układały się w całość eklektyczną, ale zupełnie nową i nieprzewidywalną. Roger wciąż podpowiadał głosom chóru nowe motywy, przez co muzyka ewoluowała jak w kalejdoskopie, przybierając co chwila nowe formy, barwy i odcienie. Nasz pierwszy *circle-song* trwał przeszło piętnaście minut, podczas których wszyscy uczestnicy próby z wypiekami na twarzach śledzili bieg wypadków. Ani jedna nuta wykonana w tym utworze nie była zapisana na papierze! Po zakończeniu zdaliśmy sobie sprawę z wyjątkowości tej

chwili: wykonaliśmy jedyną w swoim rodzaju, fascynującą pieśń, która już nigdy się nie powtórzy... To dość szokująca konstatacja, zwłaszcza dla młodszych wokalistów, przyzwyczajonych do dostępu do każdego utworu, na jaki mają ochotę, w dowolnym czasie i w nieograniczonej liczbie cyfrowych kopii.

U źródeł powstania formy *circle-song* („śpiewo-kręgu”) leży osobiste doświadczenie Bobby’ego McFerrina, który na większości swoich koncertów w trakcie długoletniej kariery, angażuje publiczność do śpiewania improwizowanych przez siebie pieśni. Wspólny śpiew przełamuje wszelkie bariery: wieku, płci, rasy, wyznania, i w jednej chwili zgromadzeni indywidualiści stają się jednolitą grupą połączoną więzami muzycznego rytmu, harmonii i wspólnego działania. Mimo ludycznego charakteru takiej produkcji wokalne artysta otwiera w niej potężną duchową przestrzeń, w której zanika ego poszczególnych śpiewaków biorących udział w spektaklu, a oni sami odnajdują w sobie radość bezinteresownej, spontanicznej kreacji. „Śpiewo-krąg” nie jest bynajmniej wokalną nowinką techniczną, wymyśloną dla czczej zabawy. McFerrin odwołuje się tutaj do najbardziej pierwotnych, wręcz atawistycznych form muzycznych występujących w każdej kulturze na całym świecie, dlatego niezależnie od miejsca jego wykonania i poziomu kompetencji muzycznych wykonawców taki eksperyment z reguły kończy się powodzeniem.

Forma cyklicznie powtarzanego motywu melodycznego lub rytmicznego pojawia się w szamańskich rytuałach, w pieśniach obrzędowych na wszystkich kontynentach, w tradycyjnej muzyce Bliskiego i Dalekiego Wschodu, w dawnej i współczesnej muzyce Zachodu (kanon, rondo, *minimal music*), wreszcie jest wszechobecna w nowoczesnej muzyce popularnej, bliskiej najmłodszemu pokoleniu słuchaczy. Tworzenie dźwiękowych kręgów jest przy tym jednym z najbardziej intuicyjnych sposobów muzykowania, opartym na cykliczności zjawisk w przyrodzie: pór roku, faz Księżyca, wzrostu i obumierania roślin, rytmu oddechu, itd. Domknięte struktury muzyczne często występują w przekazach ustnych, obecnych w tradycyjnych kulturach, i działają odmiennie niż otwarte, epickie formy muzyki Zachodu, które rozwijają się w czasie i są zapisywane za pomocą notacji muzycznej (opera, symfonia, sonata). Powtarzalne motywy obecne w muzyce bliskowschodniej czy afrykańskiej mogą wprowadzać muzyków i słuchaczy w trans oraz przenosić ich w wymiar transcendentalny. Te tradycyjne formy śpiewu wywodzą się bezpośrednio z tradycji religijnych i obrzędowych, jednak *circle-songs* proponowane przez Bobby’ego McFerrina mają uniwersalny charakter i nie dadzą się powiązać z jakąś zdefiniowaną ścieżką duchową. Ich prosta forma i abstrakcyjny tekst pozwalają na grę wyobraźni wykonawców i słuchaczy. Artysta wyraził się kiedyś na ten temat następująco: „Zawsze czułem, że śpiewanie utworów bez tekstu czyni jedną pieśń tysiącem pieśni, ponieważ każdy ze słuchaczy może dopowiedzieć sobie wtedy swoją własną historię...”. Temu przesłaniu poświęcony jest też utwór *Say Ladeo* z ubiegłorocznej płyty McFerrina pt. *VOCABuLarieS*, którego konstrukcja formalna i brzmieniowa jest w całości oparta na technice *circle-song*.



Walt Whitman

Poeta i wizjoner, entuzjasta postępu i wrażliwy komentator rodzącej się nowoczesności – Walt Whitman (1819-1892) był jednym z największych poetów amerykańskich. Często określany mianem „ojca wolnego wiersza”, łączył filozoficzny transcendentalizm z literackim realizmem. Główne dzieło poety to ponad 400-stronicowy zbiór wierszy i poematów *Leaves of Grass* (Żdźbła trawy), który w kolejnych wydaniach poprawiał i uzupełniał. Najważniejsze teksty z tego zbioru tłumaczono wielokrotnie, podczas gdy znaczna część pozostaje poza zasięgiem polskiego czytelnika. Z obszernego dzieła Whitmana prezentujemy kilka wierszy z rozdziału *Autumn Rivulets* (Strumyki jesieni). Poprzedzają one poemat *Proud Music of the Storm* (Dumna muzyko burzy), który opublikujemy w kolejnym numerze „VariArtu”.

Włoska muzyka w stanie Dakota

[„Siedemnasty, najlepszy Zespół Pułkowy, jakiego kiedykolwiek słuchałem”.]

Poprzez miękkie wieczorne powietrze owiewające wszystko,
Skąły, drzewa, fort, wysunięte przyczółki, niekończące się pustkowie,
W słodyczy płynących melodii, w dźwiękach fletów i kornetów,
Elektryzująca, zamyślona, burzliwa, sztuczna,
(Azali dziwnie stosowne nawet tu znaczenia wcześniej nieznanie,
Subtelniej niż zwykle, lepiej współbrzmiące, jakby tu narodzone, tu przywiązane,
nie do miejskich pokojów we freskach, nie do operowej publiczności,
Dźwięki, echa, błędzące brzmienia, jakby rzeczywiście znalazły tu dom,
Lunatyczki niewinna miłość, tria z cierpiącą Normą,
I twój wzniosły chór, Polito)
Promienieje w przezroczyście złotym zachodzącym słońcu,
Muzyka, włoska muzyka w stanie Dakota.

Gdy Natura, królowa sękatą rzeczywistości,
Czając się ukryta w barbarzyńskich ponurach zakamarkach,
Uznając porozumienie za znacznie przesadzone,
(Jakby jakiś stary korzeń albo sól ziemi były świeżym kwiatem lub owocem)
Słucha ukontentowana.

Z wszystkimi twymi darami

Z wszystkimi twymi darami, Ameryko,
Bezpiecznym trwaniem, szybkim postępowaniem, otwarciem na świat,
Władzą, bogactwem, łaskami dla ciebie – z tymi i z podobnymi łaskom dla ciebie,
Cóż, gdy jednego daru ci brak? (ostatecznego problemu człowieka nigdy nie rozwiązesz,)

Dar idealnej kobiecości pasuje ci – cóż, kiedy brakuje ci tego daru darów?
Twa górująca kobiecość? Piękno, zdrowie, spełnienie, które ci pasują?
Czy matki pasują do ciebie?

Moja galeria

W małym domku mam obrazy zawieszane, nie jest to dom murowany,
Jest okrągły, mierzy ledwie kilka cali od jednej ściany do drugiej;
Ale zauważ, wystarczy w nim miejsca na wszystkie wystawy świata, wszelkie
wspomnienia!

Tu żywe obrazy, a tu grupy upozowanej śmierci;
Tutaj, wiesz o tym? To cicerone we własnej osobie,
Wzniosłszy palec wskazuje obrazy rozrzutności.

Technika „śpiewo-kręgów” niesie w sobie niezwykły potencjał artystyczny i edukacyjny. Już pierwszy kontakt z tą formą śpiewu jest dla wykonawców równie naturalny jak spotkanie ze starym przyjacielem, który ma mnóstwo ciekawych historii do opowiedzenia po długiej nieobecności. Technika ta pozwala na uzyskiwanie prostymi środkami bardzo skomplikowanych struktur brzmieniowych, rytmicznych i metrycznych poprzez improwizowane zestawianie ze sobą cyklicznych motywów o różnych rozmiarach i zawartości. Przy odrobinie wprawy ta czynność staje się prosta i zabawna jak układanie klocków LEGO. Można ją stosować z wykonawcami o dowolnym poziomie muzykalności i umiejętności wokalnych, korzystając z dowolnego materiału muzycznego; nie ma tu żadnych ograniczeń stylistycznych lub formalnych, a satysfakcjonujący rezultat pojawia się natychmiast, bez konieczności przeprowadzania długotrwałych prób. „Śpiewo-kręgi” są niepowtarzalne i wyjątkowe, ponieważ ich spontaniczny charakter sprawia, że pojawiają się tylko w danym miejscu i czasie, i mogą ewoluować w dowolną stronę. Rozwijają kreatywność, spontaniczność i samodzielność wykonawców, umiejętność współdziałania w grupie, kształcą precyzję rytmiczną, intonacyjną i wyobraźnię przestrzenną, są więc wspólnym narzędziem umuzykalniania dzieci i dorosłych przez muzyczną zabawę.

Wspomniany wcześniej Roger Treece wskazał potencjalne możliwości tej techniki, pisząc utwory chóralne oparte o zasadę tworzenia „śpiewo-kręgów”. Pojawiły się już na płycie Bobby’ego McFerrina VOCABuLarieS, ale wciąż powstają nowe, dostępne w formie partytur. Prócz repetytywnego charakteru materiału muzycznego, odwołującego się do tonalności i rytmiki tradycji muzycznych całego świata, szczególną cechą tych pieśni są zaplanowane miejsca, w których wykonawcy „opuszczają” partyturę, realizując improwizowane, wielogłosowe *circle-songs*, po czym „wracają” do partytury, domykając muzyczną formę. Dzięki temu każde wykonanie takiego utworu staje się wyjątkowe i niepowtarzalne, a muzyka wokalna otrzymuje potężne narzędzie kreacji nowych form i rozwoju zespołów chóralnych o znacznie poszerzonych możliwościach brzmieniowych i wykonawczych. Impuls wywołany obecnością „śpiewo-kręgów” w muzyce wokalne może zmienić status wykonawców: z biernych odtwórców partytur muzycznych na aktywnych współuczestników procesu tworzenia muzyki, oferujących słuchaczom nowy, atrakcyjny repertuar i nowy rodzaj doświadczenia artystycznego. Przedsmak tej ewolucji muzycznej można przeżyć podczas koncertów Bobby McFerrina (oraz olsztyńskiego zespołu wokálnego ProForma :)).

WARSZTATY FOTOGRAFICZNE 50+

– architektura, portret, przyroda

Magia fotografii pozwala zatrzymać wyjątkowy dla nas czas w kadrze, utrwalić go na papierze, pozwala przenieść nas w przeszłość, ilekroć mamy na to ochotę.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie, wychodząc naprzeciw potrzebom osób w wieku dojrzałym – tych, którzy chcą podążać za rozwojem techniki, rozwijać wyobraźnię i kreatywne podejście do fotografowania – zorganizowała bezpłatne warsztaty fotograficzne z podstaw fotografii cyfrowej. Zapisy na zajęcia trwały od 1 do 28 lutego 2011 r. Liczba miejsc była ograniczona i wynosiła 32 osoby. Ilość chętnych przerosła nasze oczekiwania. Ucieszył nas fakt, iż nie tylko młodzież potrzebuje biblioteki jako źródła nauki, wiedzy i rozrywki.

Ideą warsztatów była nauka kadrowania, nakładania filtrów na zdjęcia, usuwania defektów, zabawa kontrastem i dodawaniem ramek do zdjęć w oparciu o programu PHOTOSCAPE 3.5. W trakcie kolejnych spotkań kursanci poznali podstawowe funkcje aparatu cyfrowego, nabyli umiejętności zgrzywania zdjęć z aparatu na komputer, tworzyli katalogi, wyszukiwali i podjęli próbę instalowania programu na komputerze oraz nagrywania fotografii na płytę CD.

14 marca 2011 r., godzina 11.45. Sześciu młodych bibliotekarzy w składzie: Emilia Buraczewska, Kamilla Dejnawicz, Szymon Kolender, Katarzyna Kresymon, Agnieszka Wadowska i Monika Wójcicka z przejęciem oczekiwali na przybycie uczestników, którzy zapisali się na warsztaty. Przyjdą, czy nie przyjdą? Wybija 12.00. Przyszli. Sala pęka w szwach. Nikt nie spodziewał się takiej frekwencji. „Ale mi się trzęsą ręce” – wyszeptwała Monika. Mimo stresu trzeba było zaczynać. Aby wszystko było czytelne i zrozumiałe, posłużyliśmy się krótką i przejrzystą prezentacją multimedialną. Już wiedzieli, co ich czeka :). Spotkanie przebiegało sprawnie i bez większych przeszkód do momentu ustalenia czasu pracy i podzielenia się na grupy. Opracowany przez nas rzetelnie, jak mogłoby się wydawać, godzinowy plan zajęć sprawił niemałe zamieszanie. Na sali wrzało, lista przechodziła z rąk do rąk. Okazało się, że był to najgorętszy punkt programu. Po wielu ustaleniach wszyscy wybrali coś dla siebie i doszliśmy do porozumienia. Tak wspominamy pierwsze chwile.

Podczas warsztatów zaproponowaliśmy uczestnikom pakiet literatury z zakresu fotografii cyfrowej dostępny w zbiorach Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Oprócz tego otrzymali opracowany przez nas skrypt uwzględniający materiał przydatny do pracy w domu z programem PHOTOSCAPE 3.5. Następnie wszyscy wspólnie przemierzaliśmy Starówkę, poszukując ciekawych obiektów do fotografowania, a przy tym mieliśmy okazję porozmawiać i poznać się bliżej. Uczestnicy zaskakiwali nas kreatywnością, wrażliwością i swoim własnym spojrzeniem na świat. Zdobyty materiał szybko stał się polem twórczych eksperymentów uczestników. Wyostrozali, rozjaśniali, dodawali ramki do zdjęć. Przyglądając się pracy naszych kursantów,



można było wywnioskować, iż niekwestionowanym numerem jeden wśród możliwych efektów była redukcja czerwonych oczu i kadrowanie okrągłe. Nauka nagrywania fotografii, przenoszenie danych na pamięć zewnętrzną (pendrive, CD) oraz zapisywanie zdjęć na komputerze w utworzonym wcześniej folderze też była nam nieobca. Podczas zajęć staraliśmy się odpowiadać na wszystkie pytania kursantów i powtarzać zadania, które sprawiały im trudności. Duża różnica wieku między prowadzącymi a uczącymi wymagała od nas subtelności i wczucia się w sytuację osoby, która nie ma na co dzień do czynienia ze światem cyfrowym. Wszystkie trudności rekompensowały nam humor i zaangażowanie uczestników.

Były to wyjątkowe warsztaty. Nauczyły nas, w jaki sposób przystępnie i jasno przekazać informacje, nawet osobom nie posiadającym umiejętności posługiwania się komputerem. Okazało się, że grupa wiekowa 50+ to ludzie otwarci na nowe wyzwania i o dużym potencjale. Zajęcia zainspirowały nas do planowania nowych inicjatyw dla tej grupy wiekowej. Poprzez takie działania chcielibyśmy, aby nasza Biblioteka stała się miejscem, gdzie można miło spędzić czas, nabyć nowe umiejętności i rozwijać swoje pasje.

Pokłosiem warsztatów była prezentowana w Czytelni książek Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie wystawa fotografii pt. „Warsztaty fotograficzne 50+ – architektura, portret, przyroda” autorstwa osób biorących udział w zajęciach. Ekspozycja zdjęć ukazała niemałe umiejętności uczestników warsztatów. Kursanci nie zawiedli i prawie w pełnym składzie, w otoczeniu bliskich, przybyli na wernisaż. Nie kryjąc wzruszenia i w przejęciu oglądali własne prace. Wystawę można było oglądać od 18 kwietnia do 16 maja 2011 r.

Odnieśliśmy sukces! Wracamy jesienią!

Organizator: Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
Prowadzenie warsztatów: Bibliotekarze Czytelni i Wypożyczalni



Roman Maciejewski-Varga

Sobie i dla niewieleu... czyżby upadek sztuki recytacji?

Kończy się właśnie LVI Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Mija więc ponad pół wieku tego niegdyś masowego ruchu mówioną sztuką słowa... Jestem niemal rówieśnikiem tej imprezy... Jako uczestnik po raz pierwszy brałem w niej udział bodaj w 1969 roku, będąc nastolatkiem w szkole średniej w Białymstoku. Jak wszystkim świeżo przyjętym do Teatru Poezji „Komu i Co” poety Zbigniewa Ślęczki w Klubie Budowlanych reżyser nakazał mi, młodemu, obowiązkowe uczestnictwo w OKRze. Nie było odwołania: oprócz roli do spektaklu musiałem się dodatkowo nauczyć dwóch wierszy i fragmentu prozy. Reżyser i poeta nie narzucali repertuaru, pozostawiając nam swobodę wyboru, zmuszając tym samym do buszowania po bibliotekach. Pamiętam, że wybrałem prozę Jana Gerharda z fragmentem opisu pogrzebu wielkiego francuskiego aktora Gerarda Philippe’a w Paryżu. Lubilem książki Gerharda, a Philippe’a uwielbiałem w kinie... Wybrany wiersz też do dziś pamiętam: był to poemat wybitnego, białostockiego poety Wiesława Kazaneckiego, zmarłego tragicznie w młodym wieku...

Potem wróciłem do rodzinnego Olecka i dostałem się do Teatru „Meluzyna” Stanisława Miedziewskiego, nadal biorąc udział w konkursach recytatorskich. Po kilku latach założyłem w Miejskim Domu Kultury w Olecku grupę teatralną „NIOBE”, zachęcając i przygotowując jego członków do dodatkowych zmagani z słowem.



Nie mając w Olecku gdzie mieszkać (od dziecka nie miałem rodziców), za sprawą Dobrego Przypadku, w dniu wyboru kard. Karola Wojtyły na Papieża (16 października 1978 roku), przybyłem do Szczytna i tu (jako żeglarz) zarzuciłem kotwicę na dłużej... Przy Wyższej Szkole Oficerskiej MSW założyłem wówczas międzyuczelniany Teatr „ETIUDA”, złożony ze studentów podchorążych, studium nauczycielskiego i młodzieży szkół średnich. Próby i premiery odbywały się w szczytniejskim Miejskim Domu Kultury, któremu dyktował wtedy Krzysztof Daukszewicz, znany wówczas jako założyciel i wykonawca kabaretu „Gwuść”...

Podczas piętnastu lat istnienia „mojego” teatru „Etiuda” w Szczytnie czworo uczestników przygotowanych przeze mnie oraz moja osoba dostało się do centralnego finału Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w przyjaznych poezji Ostrotęce, Słupsku... Jeden z nich, Waldemar Wota, otrzymał tam najwyższe recytatorskie wyróżnienie – „Gałąź Wawrzynu”. Potem Waldemar zdobywał i inne nagrody za monodramy na Ogólnopolskich Spotkaniach Teatrów Jednego Aktora w Zgorzelcu.

Obserwując OKR od wielu lat (często jako juror), postrzegam wieloletni kryzys ilości oraz jakości tego konkursu. Może wyczerpała się jego formuła i trzeba wymyślić ją na nowo lub choćby „odświeżyć” tego konkursu ideę? Przecież był to do niedawna masowy ruch,



a dziś w eliminacjach miejskich, rejonowych, wojewódzkich startuje garstka młodzieży... Zastanawiam się nieraz nad brakiem aktywności nauczycieli języka polskiego w szkołach, instruktorów gminnych, miejskich i wojewódzkich domów kultury...

Jedno wiem na pewno: KTO SAM NIE PŁONIE, NIGDY NIE ZAPALI INNEGO...

Niegdyś ten szlachetny ruch recytatorski udanie wspierały m.in. liczne w kraju Towarzystwa Kultury Teatralnej. Z braku m.in. dotacji na upowszechnianie tzw. wysokiej kultury przy zaciśniętym pasku budżetowym, drożących książkach, potwornie drogich biletach do teatru, filharmonii, na koncerty... wielu młodych ludzi skazywanych jest nieuchronnie na chamienie. Skandaliczny brak choćby 1% na kulturę w cywilizowanym kraju to milczące i haniebne wydanie zgody na subkulturę, duchowe spustoszenie i utratę co najmniej pokolenia młodzieży.

Szanowni rządzący, radni wszystkich szczebli, wójtowie, burmistrzowie, wojewodowie, prezydenci miast, posłowie, ministrowie, media – przypomnieć wypada w Roku Miłosza:

„Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Spisane będą czyny i rozmowy”...

Traktując po macoszemu wszelką wysoką kulturę, dotując hojnie szmirę, by poprawić własne notowania i popularność, skazując, szczególnie na wsiach i w małych miasteczkach (gdzie nie ma alternatywy), poezję na niebyt, co spowoduje nieuchronną degradację wrażliwości następnych pokoleń. Zatracacie także półwieczną pracę polskich wybitnych postaci szlachetnej sztuki recytacji: Wandy Uziembło, Danuty Słomczyńskiej, Mieczysława



Kotlarczyka, Piotra Skrzyneckiego, Ireny Jun, Lecha Śliwonika, Kiry Gałczyńskiej, Stanisława Miedziewskiego, Jana Zdziarskiego, Andrzeja Fabisiaka, Krzysztofa Rościszewskiego, Zdzisława Dąbrowskiego, Piotra Bałtroczyka i tysięcy innych wspaniałych, których tu nie sposób wymienić...

Z radością wielką postrzegam jednak lokalne, aktywne ośrodki kultury, które niezależnie od OKR z powodzeniem przyciągają młodych recytatorów! Tak się dzieje m.in. w Słupsku, Olsztynie, Pruszkowie, Praniu, Piszcu...

Siła poezji i sztuka jej recytacji są tak wielkie, że samoistnie przetrwały od wieków. Pozostanie i obroni się też teraz. Niezależnie od polityki, mód i eksplozji mediów.

Bo jest wieczna jak trawa...

Co widać, kiedy nic

Anita Romulewicz nie widać?



Konstancja ma dziesięć lat. Jest wrażliwą, pogodną i ciekawą świata dziewczynką. I choć jej „mamula” i „tatul” nie mieszkają już razem, żyje w mieście, otoczona kochającą rodziną. Ma szkolne koleżanki, przyjaciółkę Marysię (nazywaną czule Mery) i Tomka, który mieszka po sąsiedzku. Lubi jeździć pociągiem, rozmawiać godzinami z ulubionym wujkiem Ryśkiem i jak każde dziecko ma swoje wielkie pragnienia. Marzy, aby dotknąć morza, poczuć wiatr we włosach, jadać szybko na rowerze, pójść na prawdziwy koncert i choć raz być porząd-

nie mokra w lany poniedziałek. No i dostać takie małe radytko ze słuchawkami, żeby słuchać książek, bo czytać nie może ze względu na swoje „od urodzenia zepsute oczy”.

Odkrywanie, jak pachną, smakują albo brzmią poszczególne dni tygodnia, może okazać się ciekawym doświadczeniem również dla osób widzących. Może warto spróbować się w nie wsłuchać. Gorzej, jeśli wyjdzie na jaw smutna prawda, że wszystkie mają wyraźny zapach zjonizowanego powietrza z komputera, okraszonego lekką nutką woni autobusu miejskiego.

Bardzo ciekawa jest też pełna poezji zabawa Kostki i wujka Ryśka w barwne słowa. Mimo to budzi zastrzeżenie bezkrytyczna wiara autorki w erudycyjne możliwości przeciętego kilkulatka. Łatwo uwierzyć, że dla dziecka zrozumiałym skojarzeniem do barwy złotej będzie słońce lub słodycze. Jednak czerń, opisana jako abnegacja czy nawet apatia, jest mało wiarygodna (nawet skrzętnie opatrzona wyjaśnieniem). Również świat, w którym żyje Konstancja, niektórym wyda się zbyt przesłodzony, pełen nienaturalnie uprzejmych relacji wśród dorosłych, mało realistyczny. Z całą pewnością natomiast da młodym czytelnikom poczucie bezpieczeństwa, a dorosłym przypomni definicję szczęśliwego dzieciństwa.

Dla mnie największym walorem książki jest jednak próba wyrażenia osadzenia niepełnosprawnego, chociaż szczęśliwego, dziecka w świecie ludzi widzących. Bo czy nie zdarzyło się wam w obecności osoby kalekiej mieć „uwierające” uczucie, które w rezultacie sprawia, że głównie z powodu naszej niewiedzy zachowujemy się nienaturalnie, a czasem wręcz niemądrze. Przypominamy wtedy – w skrajnych przypadkach – ową Panią z pociągu, która przez większą część podróży ubolewała nad nieszczęsnym losem tak naprawdę zupełnie zadowolonej z życia Konstancji. Brak nam niekiedy bezpośredniego i szczerego spojrzenia Tomka, któremu Kostka nie tylko odpowie na nurtujące pytanie „co widać, jak nic nie widać”, ale też wesprze, gdy zdarza się prawdziwa tragedia w życiu dzieci – umiera ukochana szurczyca Sandra.

Tydzień Konstancji to debiutancka książka autorki pochodzącej z Kętrzyna, obecnie polonistki w jednym z warszawskich gimnazjów. Książka już w roku wydania została zauważona jako wartościowa literatura dla najmłodszych. Otrzymała m.in. wyróżnienie w V edycji konkursu „Świat Przyjazny Dziecku”, organizowanego przez Komitet Ochrony Praw Dziecka. W 2009 r. była także nominowana do prestiżowej Nagrody im. Kornela Makuszyńskiego. A o niewątpliwym talencie pisarskim Olgi Masiuk przekonuje II Nagroda w tegorocznym Konkursie Literackim im. Astrid Lindgren za kolejną pozycję pt. *Lenka, Fryderyk i podróże*. Biorąc pod uwagę tematykę, którą podjęła Olga Masiuk, laury są ze wszech miar zasłużone. O funkcjonowaniu osób niepełnosprawnych wśród w pełni zdrowych, jak dotąd powstało niewiele książek dla dzieci. Warto jednak pamiętać, aby przy okazji dobrych uczynków nie popełniać z pozoru niewinnych grzeszków, takich jak kłamstwo czy przekupstwo. Każdy, kto przeczyta *Tydzień Konstancji*, zorientuje się, w czym rzecz...

Masiuk Olga, *Tydzień Konstancji*, Warszawa, Wydawnictwo Dwie Siostry, 2008.

Lampa. Rys. Anita Romulewicz

Czy uda się spełnić te życzenia, dowiemy się z książki Olgi Masiuk pt. *Tydzień Konstancji*, wydanej w 2008 r. przez Wydawnictwo „Dwie Siostry”. Nie jest to lektura, jak można by się spodziewać, smutna ani specjalnie wzruszająca. To optymistyczna i napisana z dużym poczuciem humoru opowieść o małym, niepełnosprawnym człowieku, który poznaje i uczy się świata poprzez zmysły inne niż wzrok. Forma osobistego pamiętnika pozwala poznać bliżej i polubić bohaterkę za jej pogodę ducha, temperament i fantazję. Opatrzona grafikami Ewy Stiasny – „cieniami” ze świata osoby niewidomej – przypomina, że chociaż nie ma w nim kolorów, to nie znaczy, że jest on bezbarwny. Są w nim zapachy, smaki, kształty i dźwięki.

Jak zatem wygląda zwyczajny tydzień Konstancji, skoro nie ma w nim barw? Sobota ma zapach szarlotki i babci Flory, która czasem pachnie cebulą. Niedziela to aromat kawy, którą pija mama w domu, a nie jak zwykle w pracy. Poniedziałek ma nieprzyjemny dźwięk budzika, co przerywa miły sen (jakby nie można było dołożyć poniedziałnika, żeby człowiek mógł się przyzwyczaić do nowego tygodnia. Albo jeszcze żeby poniedziałnik miał żonę i kilkoro dzieci). Wtorek, choć nie każdy, pachnie fłądrą i ulicznym jedzeniem, które dziewczynka pamięta z wizyt u ojca nad morzem. Środa to środek, czyli pomieszenie wszystkiego, co przed i po niej (pachnie planami na weekend, prezentem urodzinowym, klasową wycieczką). Czwartek to zazwyczaj wstrętny zapach papkowatego ryżu ze szkolnej stołówki, ale i tłustoczwartkowych pączków, że „O Jezu!”, i soku malinowego, który jest „tak mięciutki, jakby się go piło nosem”. Piątki są ekscytujące jak ekspresowa jazda pociągiem czy zapach futerka w butach, w których Mikołaj zostawił niespodzianki.

Iwona Łazicka-Pawlak

To dla nich jest ta impreza

Idea Klubu Literackiego Młodych, podobnie jak koło, zrodziła się z konkretnej potrzeby, nie była to rzecz wymyślona sobie a muzom. Na początku lat osiemdziesiątych Miejski i Międzyzwiązkowy Dom Kultury w Olsztynie (obecnie MOK) organizował sporo konkursów literackich, między innymi Konkurs Poetycki dla Młodzieży Szkół Ponadpodstawowych. Zainteresowanie tymi konkursami było naprawdę duże, w każdej edycji pojawiały się setki tekstów. Zawsze znalazło się kilkanaście, kilkadziesiąt interesujących wierszy. Konkursy kończyły się rozdaniem nagród, a o uczestnikach i laureatach zapominano. Uznaliśmy, że to trochę za mało. Wyraźnie widać było potrzebę stworzenia miejsca, w którym młodzi autorzy mogliby się poznać, spotkać, dowiedzieć czegoś o literaturze, szczególnie regionalnej czy współczesnej, która w szkołach w zasadzie jest nieobecna, o warsztacie pisarza, nowościach wydawniczych, pismach krytycznoliterackich, nowych tendencjach w sztuce. Podczas podsumowania tego konkursu w 1986 r. zaprosiliśmy uczestników i laureatów do Klubu. Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie okazał się znakomitym miejscem, w którym do dziś spotyka się młodzież zainteresowana literaturą. Wiele osób, które uczęszczały do klubu, to dzisiaj młodzi pisarze, poeci, nauczyciele języka polskiego, dziennikarze. Większość wybrała studia humanistyczne i ich życie oscyluje wokół literatury.

Klub Literacki Młodych nie był i nie miał być „szkołą poetów”, czy szkołą pisania czegokolwiek. Jego celem i zadaniem było raczej towarzyszenie i wspieranie rozwoju młodych, bez założenia, że wszyscy mieliby zostać poetami czy pisarzami. Przede wszystkim zależało mi na indywidualnym rozwoju każdego talentu, na uświadomieniu młodym ludziom, że każdy z nas inaczej postrzega rzeczywistość i to właśnie indywidualne patrzenie na świat i oryginalny sposób mówienia o nim stanowi wartość samą w sobie i powoduje, że mogą stać się twórcami w przyszłości. Staralam się im podpowiadać, w którym kierunku iść, jakie lektury wybierać, ale nie chciałam na siłę tworzyć czegoś sztucznego, raczej pomagać im w ich rozwoju wewnętrznym, w rozwoju ich własnej indywidualnej drogi. To było zadaniem nadrzędnym. Praca w Klubie Literackim Młodych polegała przede wszystkim na rozmowie z konkretnym młodym twórcą, bo zawsze osoby przychodzące do klubu traktowałam jak młodych twórców. Nie tworzyliśmy żadnych grup, szkół czy kierunków. Marta Syrwid, Wojciech i Grzegorz Giedrysowie, Marcin Cielecki, Piotr Siwecki, Filip Onichimowski, Piotr Makowski czy Michalina Janyszek-Kujawa to tworzący dziś, także gdzieś w kraju, młodzi pisarze i poeci z Olsztyna i z Klubu.

Ważną częścią działań Klubu była seria debiutów literackich „Owocarnia”. Te debiuty, były takimi debiutami-niedebiutami, mającymi raczej udokumentować pracę i rozwój twórczy młodych autorów, pokazać, jak z czasem rozwijał się ich talent. Ukazało się w tej serii kilka tomów – Marty Syrwid, Marcina Cieleckiego, Piotra Makowskiego, Mileny Piskorskiej. W zasadzie były to arkusze poetyckie, z wyjątkiem „Czkawki” Marty Syrwid, będącej zbiorem opowiadań, zresztą dostrzeżonym od razu w Polsce.

W Klubie Literackim Młodych powstało również pismo krytycznoliterackie „Undergrunt”, by później – wraz z młodzieżą, która rozpoczęła studia na UMK – przenieść się do Torunia, skupiając wokół siebie tamtejsze środowisko młodoliterackie. Klub nie miał jednak nigdy na celu szkolenia poetów czy pisarzy, lecz rozwój ludzi, dla których literatura jest ważna, niezależnie od tego, w jaki sposób to zaangażowanie byłoby wyrażane, czy to przez pisanie własnych tekstów, czy też przez lektury, dyskusje. Nie był też elitarny, zawsze był otwarty dla każdego. W naszych spotkaniach często uczestniczyły osoby, które nie pisały, nie miały żadnych związków z literaturą oprócz lekcji języka polskiego i własnych lektur, i które przychodziły do klubu ze względu na jego atmosferę. Zdarzali się matematycy, przeciągnięci na naszą stronę. I to też wskazuje na wartość i potrzebę tej inicjatywy.

Oczywiście Klub Literacki Młodych zmieniał się na przestrzeni lat, przystosowywał do potrzeb uczestników. Stąd różnorodność naszych działań – od indywidualnych spotkań i rozmów, przez wieczory autorskie, publikacje (seria „Owocarnia”, pismo „Undergrunt”). Podobnie zaproponowana w tym roku przeze mnie Rzeźnia Literacka jest odpowiedzią na konkretną potrzebę – stworzenia miejsca prezentacji twórczości poetyckiej czy prozatorskiej. Spotkanie autora z autorem i z czytelnikiem. Był to ryzykowny eksperyment. Mógł się nie udać. Dzisiaj, kiedy słupki czytelnictwa wypełnione są w zasadzie koniecznością znajomości lektur szkolnych czy ich fragmentów, a powszechnie czyta się jedynie etykiety na opakowaniach, trudno było spodziewać się jakiegoś ogromnego zainteresowania tego rodzaju spotkaniem. Rozczarowanie w tym względzie było dobrym doświadczeniem. Nie było moim zamiarem zamierzenie kolejnych słamów, chociaż idea jest ważna, więc uznałam, że byłoby dobrze, gdyby znalazły się w formule tej imprezy elementy slamu. Z drugiej strony nie miał to być też kolejny turniej jednego wiersza. Nie mieści się w nim proza, na której prezentacji mi zależało i okazało się, że eksperyment się udał. W praktyce wyszło nieźle, okazało się, że można zasłuchać się w tekst o objętości znormalizowanego maszynopisu A4 i ocenić możliwości warsztatowe autora. Potrzebna więc była nowa propozycja, która łączyłaby te dwie formy, jakiś konkurs poetycko-prozatorski, którego uczestników oceniałaby zarówno publiczność, jak i profesjonalne Jury. Taka podwójna ocena, w zasadzie rzeź. Obecność prozy w tym konkursie spowodowała, naturalnie moim zdaniem, nawiązanie do dzieła Kurta Vonneguta *Rzeźnia numer pięć*. Ale jest to również nawiązanie do rzezi niewiniątek, bo konkurs zawsze jest w jakimś stopniu rzezią, zawsze są przegrani. Rzeźnia Literacka, która zdarza się w Miejskim Ośrodku Kultury, nie jest bytem niezmiennym, dlatego w trakcie jej trwania cały czas wsluchujemy się w głosy uczestników i publiczności. Dynamiczne dostosowywanie konkursu, także do różnych pięknych i niepowtarzalnych okoliczności, wspaniale podczas ostatniej, czerwcowej Rzeźni Nr 5, zilustrował artysta malarz Robert Listwan. Staramy się działać tak, żeby twórcy, młodzi twórcy, albo sympatycy literatury czuli się dobrze. I to dla nich jest ta impreza.



Powrót do normy



Krzysztof D. Szatravski



Zakończył się jubileuszowy sezon Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii im. Feliksa Nowowiejskiego. W historii olsztyńskiej orkiestry był to czas pełen obiecujących wydarzeń, ale też trudny okres zmian i zawirowań. Filharmonia zyskała nową siedzibę, straciła natomiast dyrektora artystycznego, który wobec konfliktu w zespole wolał się wycofać i podał się do dymisji. Dramatyczne wydarzenia przeniesione na forum dyskusji internetowej zmierzały do wyczerpania, gdy rozpisany został konkurs na stanowisko dyrektora naczelnego. Nie dziwi więc, że w ostatnich tygodniach sezonu naturalny rytm koncertów zdominowała nerwowość i arytmia.

Tym większe uznanie publiczności wzbudziły dwa pozornie zwyczajne koncerty w ostatnich tygodniach sezonu – 27 maja pod dyrekcją Krzysztofa Dziewięckiego i 17 czerwca pod batutą Piotra Sułkowskiego. Zwłaszcza drugi koncert, zaplanowany jako typowy program abonamentowy, okazał się wydarzeniem szczególnie znaczącym, kiedy na kilka dni przed występem Piotr Sułkowski wygrał konkurs na stanowisko dyrektora Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej. Dwa koncerty, jeden zdominowany przez stylistykę klasyczną, drugi o wyraźnie romantycznym charakterze, obydwa programy zróżnicowane, w założeniach wykraczające poza ramy typowych koncertów filharmonicznych, i obydwa dające orkiestrze możliwość wykazania się wszechstronnością, a może również szansę przetestowania własnych możliwości w nowych warunkach akustycznych.

Klasyczny wieczór Dziewięckiego obejmował muzykę trzech epok – kompozycje Mozarta, Davida i Spisaka, jednak dominacja stylu klasycznego była w tym programie wyraźnie wyczuwalna. Środkowa część programu to dwa utwory koncertowe, w których postacią pierwszoplanową był puzonista Roman Siwek – *Concertino Es-dur* Ferdynanda Davida oraz *Concertino* Michała Spisaka. Zagra-

no precyzyjnie i odpowiednim dystansem, z uważnie towarzyszącą orkiestrą, concertina znakomicie wpisały się w klasyczne ramy dwu wielkich dzieł Mozarta – *Serenady na instrumenty dęte B-dur KV 361* i *Symfonii g-moll KV 550*.

Sporym wyzwaniem było zwłaszcza wykonanie otwierającej wieczór *Serenady*, której precyzyjna narracja wymaga szczególnego wyczulenia na wszystkie warstwy. Jest to utwór wymagający zarówno orkiestrowej dyscypliny jak i kompetencji kameralistycznych. Zagrany precyzyjnie, z dbałością o tempa i adekwatną artykulację, pozostawił jednak wrażenie ściągniętego dystansu albo wręcz schematyzmu. Zabrakło w tym wykonaniu wygładzenia fraz, a w rezultacie także owego „iskrzenia” w dialogach pomiędzy instrumentami. Mniej odpornych na styl klasyczny słuchaczy wykonanie to mogło zmęczyć powtarzalnością zwrotów retorycznych.

Zupełnie inne wrażenie pozostawiła zamykająca cały wieczór *Symfonia g-moll*. Dobrze wyważone tempa, ekspresja i emocjonalizm, znakomicie przeprowadzone myśli zespoliły tę symfonię w integralną całość. Orkiestra pod dyrekcją Krzysztofa Dziewięckiego wystąpiła jako sprawny organizm. Dyrygentowi udało się stopniować napięcie na tyle skutecznie, że każda kolejna część pozostawiała wrażenie nierozstrzygniętego dylematu, które znalazło ukojenie dopiero w finałowym rondzie. Sądząc po tym wykonaniu, orkiestra jest w świetnej kondycji.

Koncert pod dyrekcją Piotra Sułkowskiego przekonał, że nie było to wyłącznie wrażenie. Późnoromantyczny repertuar cieszy się szczególnie szacunkiem publiczności z tego samego względu, z jakiego wykonuje się go rzadziej niż kompozycje osiemnastowieczne. Wymaga po prostu dużego, zdyscyplinowanego aparatu wykonawcze-



go, a taki wzmocniony zespół silniej oddziałuje na emocje słuchaczy. Otwierająca koncert 17 czerwca *Uwertura do opery „Śpiewacy norymbercy”* miała wszelkie cechy *expose* zwycięzcy konkursu na dyrektora filharmonii. Niezwykle ciepło została też przyjęta przez publiczność.

Wydarzeniem wieczoru okazało się wykonanie *Koncertu podwójnego na skrzypce i altówkę e-moll op. 88* Maxa Brucha. Znakomici soliści Michał Maciaszczyk i Dorota Sroczyńska tworzą duet o fenomenalnych możliwościach. Oparte na świetnej technice i doskonale wyważonych proporcjach wykonanie dzieła Brucha stało się dla artystów okazją do muzykowania naturalnego, dającego publiczności wrażenie niemal nieskrępowanej ekspresji, co znalazło potwierdzenie w owacjach po występach artystów. Kiedy duet solistów zagrał na bis *Passacaglię* Haendla-Halvorsena, napięcie sięgnęło zenitu. Zdecydowanie zbyt rzadko mamy okazję słuchać tej klasy artystów na żywo.

Drugą część wieczoru wypełniły dwa utwory charakterystyczne – *Scherzo symfoniczne „Uczeń czarnoksiężnika”* Paula Dukasa i *Uwertura koncertowa „Karnawał rzymski” op. 9* Hectora Berlioz. Dwa dzieła programowe dysponujące pełną paletą kolorystyki brzmieniowej wielkiego składu symfonicznego wraz z dziełami prezentowanymi w pierwszej części koncertu złożyły się na interesujący program. Były to kompozycje o bogatej szacie brzmieniowej i czytelnej strukturze, co uwydatniła bezlitosna akustyka nowej sali. Miłośnikom bardziej tradycyjnych sposobów kształtowania wypowiedzi mogło zabraknąć w programie formy symfonii, chociaż – jeżeli założeniem było poszukiwanie istoty stylu romantycznego, to warto pamiętać, że symfonia nie jest dominującą formą tej epoki.

Trudno ocenić, czy koncert pod dyrekcją Piotra Sułkowskiego, będąc jednym z ostatnich wydarzeń sezonu, był również zapowiedzią kierunku, w jakim nowy dyrektor poprowadzi orkiestrę. Skoro program koncertu opublikowany został na długo przed rozstrzygnięciem konkursu, raczej nie może być mowy o zamierzonej ekspozycji artystycznego *credo*. A jednak jakość tej prezentacji oraz zdecydowana postawa estetyczna pozwalają już w najbliższej przyszłości spodziewać się interesujących wydarzeń. Z pewnością warto śledzić poczynania zespołu i jego nowego dyrygenta.

P.S. Nie warto natomiast zwracać sobie głowy wygłaszanymi przed koncertami „prelekcjami”. Kogo obchodzi, czy Mozart lubił trąbki, albo że Wagner był antysemitą, i co to ma wspólnego z prezentowaną muzyką? W epoce klasycznej wielu twórców nie ceniło tego instrumentu. Wagner jako młody człowiek sfrustrowany brakiem perspektyw napisał antysemitki pamflet, który później wielokrotnie odwoływał. Nie tylko te dwie wypowiedzi, ale znaczna część owych „prelekcji” jest prawdziwa tylko częściowo. A często trochę prawdy to już całe kłamstwo. Opowiadanie przed koncertem filharmonicznym o gustach muzycznych Hitlera jest co najmniej nie na miejscu, nie był to bowiem polityk czy celebryta, ale zbrojca. Prelekcja jest formą przekazu o charakterze edukacyjnym i jeżeli wspomina się nazwisko zbrodniarza, nie wolno nie wspomnieć o jego zbrodni. Chyba że ktoś świadomie próbuje wypuścić „demoną z butelki”. Chciałbym wierzyć, że był to wyłącznie niezamierzony brak taktu – naprawić już się nie da, unikać warto.



Vermeer, czyli porządek świata

Dariusz Szymanowski

*Was aus ihnen geworden ist,
Wissen wir nicht.
H.M. Enzensberger*

Wszystko, co zostało dotychczas powiedziane, nie powinno budzić naszej wątpliwości. I rzeczywiście jest tak, jak mówią: jedna wielka zagadka, rząd znaków zapytania. Brak imienia mistrza i to uporczywe zacieranie śladów: żadnej daty, szkiców, niedokończonych płócien. Jakby to, co namalował, zjawiało się na świecie w formie dokonanej. To wszystko pozostawione jest w stanie skupienia. Zupełnie jakby malował swoje obrazy obdarzony mocą nazywania rzeczy. Za jednym pociągnięciem pędzla, lekko, niemal przezroczyście, powoływał do życia żołnierzy, służki, kwieciste dywany, złotocytrynowe suknie, odkryte dekolty.

Wiadomo o nim niewiele. To jedynie, że był wnukiem Jana Reynersz, krawca, którego żoną była Cornelia, a właściwie Neeltge Goris, która urodziła mu dwóch synów. Anthony'ego i Reyniera. Ten ostatni przyszedł na świat w 1591 roku przy Beestenmarkt numer 14 w domu zwanym Nassau. Reynier Janz jako dwudziestolatek wyjeżdża do Antwerpii, aby tam uczyć się sztuki wyrobu adamaszku. Był on uczniem raczej pilnym, choć jako młody mężczyzna nie był obojętny na względy dziewcząt. Szczególnie upodobał sobie jedną, Dignę, z domu Baltens, córkę zamieszanego w nielegalne interesy Balthasara Claesa Gerrits.

Zanim jednak przyszedł teść Reyniera został ścięty za podrabianie niemieckich monet, pracował w amsterdamskim porcie jako *lichterman*, przeladowując towary ze statków oceanicznych na łodzie płaskodenne, zwane „zapalniczkami”. Uczucie Reyniera było jednak silniejsze od stawianych przez los przeciwności i w roku 1615 ostatecznie poślubia Dignę i w tym samym czasie do swojego imienia dodaje nazwisko *Vos*, to jest *Lis*. Później zmienione na Vermeer. W roku 1631 zostaje przyjęty do cechu św. Łukasza jako handlarz sztuki i wraz z żoną zaczyna prowadzić karczmę w domu Mechelen przy Marktvelde w Delft. W roku 1632 na świat przychodzi ich drugie dziecko, syn – Jahannes.

Johannes van der Meer. Przychodzący z morza. Rozsławił nazwisko swojego ojca, malując jedynie nieco ponad trzydzieści obrazów. Niewiele. Jego życie jest równie tajemnicze jak żywot pustułki. Pozostały obrazy, kilka odręcznych zapisków z kalendarza, być może:

Dwudziestego kwietnia tysiąc sześćset pięćdziesiąt trzeciego roku – *ślub z Catheriną. Jej matka nie zna mnie i co więcej wyraźnie mnie nie lubi. Nie wie o tym, jak bardzo kocham jej córkę. Bezbłędna pani Maria Thins mówi: n i e! Jakie rady? Wystarczy odwrócić głowę.*

Środa, lata osiemdziesiąte siedemnastego wieku – *malować, malować. Lista zakupów: pieczywo, cebula, ziemniaki, trochę kawy, jeśli po dobrej cenie, pigmenty, może dwa nowe pędzle, wszystkie te są już takie stare.*



Sobota: *Hendrick Van Buyten, piekarz – mały pejzaż, może też być kobieta, byle młoda, koniecznie blondynka. Coś w guście tęsknoty za domem.*

Wtorek: *Jacob Dissius, drukarz (kłamca i hochsztapler). Oddać dług. Namalować obraz. Odzyskać światło.*

Piątek: *Catherina mówi, żeby więcej malować. Więcej malować znaczy dla niej tyle, co więcej sprzedawać. Nigdy! Jeden obraz, jedna cena – minimum 600 guldenów. To dobra cena. To powinno wystarczyć.*

Środa: *Byli u mnie z cechu. Jest mała robota, śmieszne pieniądze, szkoda czasu, ale Catherina mówi, że nie mamy na chleb. Mam być biegłym? Kto to jest ten biegły? Mam dokonywać ekspertyz obrazów. Rzekomi autorzy: Michał Anioł, Tycjan i Rafael. Wciąż to jednak za mało.*

Wtorek: *Jest coraz gorzej. Brak zamówień. Catherina namawia na przeprowadzkę do Oude Langendijk. Tam znów twarz Marii. Śniła mi się nawet dzisiaj. Catherina mówi, że są dla nas dwa małe pokoje na dole, a pracownię będę miał na górze.*

Wrzesień: *Czasami nie pamiętam ich imion. Czy to nie jest godne potępienia?*

Zapisz je, na wszelki wypadek: Maria, Elisabeth, Cornelia, Aleydis, Beatrix, Johannes, Gertruy, Franciscus, Catherine i Ignatius. 1667, 1669, 1673 i jeszcze ta trójka. Nawet nie wiem, czy były do mnie podobne.

Prawdą jest, zaiste, jedynie to, co zostało. Idźmy dalej. Paleta Vermeera była ograniczona, w sumie dwadzieścia różnych pigmentów, z czego dwunastu używał dość często. Od innych malarzy odróżniało go zamilowanie do błękitu, uzyskiwanego z bardzo kosztownego Lapis-Lazuli. Podczas gdy wszyscy kupowali zwykły lazuryt, Vermeer zamawiał Lapis, z domieszką kalcytu i pirytu. Przywożono go wtedy do królestwa Niderlandów z Hinduszu, z Syberii, często z Włoch. Vermeer jest w istocie malarzem nieba. Zwykle przykrytego chmurami, jak w *Widoku Delft*. Najpierw, góra obrazu, (*retardatio*): trzy plany – brąz, szarość i biel. Pomiędzy nimi błękit. Jak krótka chwila ciszy, która zwiastuje zbliżającą się burzę. Potem – *l i n i a* – miasta, czuwanie wież i ściągnięte maszty, p o w i e r z c h n i e dachów, murów i drzew wypełnione czystym kolorem. Na koniec, dół obrazu: lustro wody i piaszczysta plaża i ludzie z obrazu.

A dziś, co stało się z nimi? Nie wiemy. Czy trwają nadal, czekając na odpowiedź, czy może opuścili już dawno swój przyczółek płótna.



Waldemar Tychek

Smętarz Zapomnianych Książek

KANION LEKTUR

Zdarzyło się tak, że najpierw miałem sen. Na ulicy stała grupka młodych ludzi, ale nagle wszyscy puciekali, a zatrzymał się tylko ten jeden, zadyszany, co mu aż oczy wylażyły na wierzch, bo ich gonilem wymachując książką w rękę. I ten właśnie do biblioteki został zapisany.

Potem gdzieś wyczytałem, że czytelnictwo w Polsce, a właściwie jego brak, jest chorobą społeczną. Z tymi chorobami społecznymi to dziwna sprawa jednak jest. Usiłuje się je leczyć, chociaż tak po prawdzie, to się ich nie ma. A poza tym nie wszystkie książki należy czytać, nie wszystkie zostały nam przypisane. Carlos Ruis Zafon uważa nawet, że każdy człowiek w swoim życiu ma szansę trafić tylko na jedną książkę, która jest jego przeznaczeniem – została jemu i tylko jemu przypisana po to, by ją uratował od pochówku na „Cmentarzu Zapomnianych Książek”. Zamierzyłem więc, w akcie rozbudzonego nad ranem miłosierdzia, przyjrzeć się kilku tytułom, co do których mogłem się spodziewać, że albo już spoczęły w swojej kwaterze, albo czekają jeszcze na katafalku licząc, niczym dusze pokutne, na zmiłowanie.

Postanowiłem zatem sięgnąć po *Słyszysz pan te śmiechy?* Nathalie Sarraute – książkę, o której w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku było głośno z racji apogeum tzw. nurtu *nouveau roman* („nowej powieści” lub „anty-powieści”). Niestety sprawdziły się moje przypuszczenia. Książki tej w bibliotekach olsztyńskich nie uświadczylem, a najbliższy biblioteczny „katafalk” odnalazłem w bibliotece wydzielonej filologii polskiej na UMK w Toruniu. Porażka. Rzuciłem się więc na Jakubowy Szlak w poszukiwaniu *Odmian czasu* Michela Butora. I znów porażka. Olsztyn i dla tej powieści okazał się nekropolią, a najbliższy „katafalk” także odnalazł się w Toruniu. Wobec tego, w poczuciu rosnącej determinacji, przypomniałem sobie Andre Robbe-Grilleta i tu – sukces! Jest! Słynna *Zaluzja* i to nawet w dwóch egzemplarzach czekała na mnie w naszej Wojewódzkiej Bibliotece.

Z jakimś pietyzmem wziąłem do rąk tę nieco zgrzebną książeczkę i w nocy o północy rozpocząłem lekturę. Około drugiej zauważyłem, że gdzieś tak około pierwszej musiała mi w sposób niepojętym opać determinacja. Trudno mi po prostu było oddychać z książeczką na twarzy. Doczytałem jednak do końca. Już świtało. Wstałem, a żona widząc w moich oczach ni to wykrzykniki ni znaki zapytania odwróciła się z westchnieniem na drugi bok.

Za oknem, na opustoszałej jeszcze ulicy, drzemał pocziwy kiosk „Ruchu”, zabezpieczony antywłamaniowymi żaluzjami, na których ktoś maznął sprayem „Rany Boskie! Jestem kioskiem!”. I wtedy poczułem, jak lodowaty strumień empatii rozlewa się szeroką strugą po grzbiecie, a w organizmie podwyższony poziom białych ciałek krwi odzywa się szczękającymi z zimna lękościami.

To nie była książka dla mnie przeznaczona. Mechanizm czasu, zaproponowany przez Robbe-Grilleta, zaczyna się, jakby pracował na sfatygowanej już sprężynie. W przestrzeni – niczym obłoczki kurzu – unoszą się nie do końca wypowiedziane jakieś uczucia, przecucia i skadrowane reminiscencje. Bohaterowie większość czasu spędzają w fotelach i przezuwają papkę własnych myśli oraz obrazków najbliższego otoczenia, przesuwających się przed ich oczami. Nuda. Najbardziej dynamiczny fragment powieści to mord na stonodze dokonany zwinęta w supeł serwetką śniadaniową.

Po południu spotkałem znajomego antykwariusza, który nie wie-dzieć skąd dowiedział się o moich poszukiwaniach dzieła „Szarotki”

(tak nazwał matkę francuskiej nowej powieści – Sarraute) i „Buciora” (na myśli miał oczywiście Butora). Okazało się, że w swoich „skartowanych” odrzutach posiada zarówno *Czy słyszysz pan te śmiechy?* jak i *Odmiany czasu*, i jest skłonny za „drobną opłatą” (co w jego ustach zabrzmiało jak eufemizm) odsprzedać mi te arcydzieła. Po Robbe-Grilletcie miałem pewne opory. Słyszałem bowiem o Słowackim, który podobno po lekturze *Dziadów* uciekł ze wzruszenia do lasu i potem go szukali całymi godzinami. Nie chciałem pobłądzić wśród kniei i narazić się na podstępą boreliozę nawet za przyczyną „Szarotki”, a tym bardziej „Buciora”. Zaryzykowałem jednak, bo a nuż napotkam swoje przeznaczenie.

Zacząłem od „Buciora”, przepraszam, Butora. Historia bohatera, który przyjeżdża do miasta Bleston, by tam odbyć roczną praktykę urzędniczą w firmie handlowej, właściwie wyczerpuje już całą fabułę. Bohater pisze dziennik swoich zmagają z tym miastem, z czasem, który mu jeszcze pozostał do końca pobytu. I zdaje się, że już, już coś mogłoby się zacząć, na planie rysuje się jakaś zmitologizowana groza tego miasta, gdy nagle w tkanę powieści wkracza Butor ze swoimi „buciorami” i burzy całą konstrukcję dywagacjami o czasie, w którym nie ma ani przeszłości, ani teraźniejszości, ani tym bardziej przyszłości. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że Butor generalnie musiał mieć podczas pisania tej powieści problemy z poczuciem czasu, a wystarczyło przecież spojrzeć na zegarek. W efekcie, tak jak Achilles w pięcie, Butor miał pecha w antypisaniu powieści i od 1960 roku nie napisał już ani jednej. I chyba dobrze. Nawet taki Kartezjusz, gdy już doszedł do wniosku, że nic nie wie, to dopiero od tego momentu zaczął filozofować. Człowiek w dzisiejszych czasach broni się przed detonacją psychiczną, chcąc mile spędzić czas, ale nie w towarzystwie kogoś, kto w wielkim bólu neurastenii rozważa, w jakim czasie się znajduje – czy teraz to jest teraz, czy przedtem to jest potem, a może jeszcze nie...

Przyznaję. Mój wielki błąd polegał na tym, że zaraz po Butorze sięgnąłem po *Słyszysz pan te śmiechy?* Nathalie Sarraute. Niestety, żadnych śmiechów nie słyszałem. Może, gdybym po Butorze zagłębił się w jakieś mięsiste opisy innego autorstwa, np. takiej Jagienki w *Krzyżakach*, co była tak dobrze zbudowana, że jak siadała na ławie, to podobno mogła zmiażdżyć dwa orzechy włoskie jak dziesięć laskowych, wtedy zrozumiałbym bardziej to zacierzawienie językowe Sarraute. Z drugiej jednak strony muszę przyznać, że jakieś tam poczucie humoru „Szarotka” miała, pisząc tę książkę, bo jeżeli ktoś sprawia wrażenie, jakby przez dwanaście stron przyglądał się uważnie ogonowi żaby, którego, jak wszyscy doskonale wiemy, żaba tak naprawdę nie ma, no... to musi mieć poczucie humoru.

Amerykanie twierdzą, że idealnym autorem bestsellerów może być tylko gwiazdor TV, który napisał już jedną książkę, zdobył mistrzostwo świata w MMA, zamordował swoją żonę i dwójkę dzieci, a teraz pisze w celi swoją drugą książkę, kandydując jednocześnie na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niestety żadna z książek, które chciałem uratować od „smętarza zapomnienia”, nie stała się moim bestsellerem. I wcale nie dlatego, że autorzy nikogo nie zamordowali, ani nie byli celebrytami. Każdy z nich pisał wspaniale, każde napisane przez nich słowo następowało jedno po drugim, tak że można było te powieści czytać od początku lub od końca. Niestety. W zależności, jak się książka otworzyła.

Mateusz Iwaszczyszyn Dokonałem odkrycia!

Całkiem niedawno, bo trzy miesiące temu, dokonałem odkrycia! Było to odkrycie, jak się teraz okazuje, bardzo istotne dla mnie, ponieważ od dłuższego już czasu miałem wrażenie, że coraz bardziej upodabnam się do osła, który, jak to osioł – do przodu... nie za chętnie, zaprzec się woli, czy nawet...do tyłu krok zrobić. A przecież osioł jest podobno bardzo inteligentnym stworzeniem. I, trzy miesiące temu właśnie, stało się! Moja inteligencja, na pytanie Agatki, czy mam ochotę kliknąć w jakąś ikonkę, zjeżyła się i lekko obraziła, ale potem, jak to inteligencja, pomyślała: spróbuj chłopie, pokaż babie, żeś nie gorszy od niej! Podszedłem do tego jej komputera, kliknąłem, raz, drugi raz..., dziesiąty... i... wsiąknęłam, kochani, normalnie – wsiąknęłam! Niektórzy mówią, że komputer to urządzenie durne i w ogóle maszyna-idiota, ale czy... młotek, śrubokręt albo dłuto są mądrzejsze?! Dalibóg nie! To nasza inteligencja je wymyśliła i zaprzęgała do roboty, nieraz bardzo precyzyjnej przecież. Bez tych prostych narzędzi życie by było o wiele trudniejsze. I brzydsze. A komputer – narzędzie może i durne, ale tylko z jego pomocą możemy... surfować! Nie, nie u brzegów Australii czy banalnej Kalifornii! Surfować i buszować możemy wszędzie, nie ruszając się z krzesła. Lewą ręką popijam kawę, prawą – klik! i już jestem w Wersalu albo w Kambodży, na Antarktydzie albo w kopalni soli w Wieliczce!... Klik! i oglądam malarstwo włoskiego renesansu, później – katedry gotyckie albo skansen w Olsztynku, klik i – jestem w centrum Nowego Jorku, by za chwilę wędrować przez całą Warmię, Mazury i zabłądzić w Puszczy Białowieskiej. Agatka, surfując tak i buszując, zaprzyjaźniła się z pewną japońską artystką! Okazuje się, że Olsztyn i Tokio są od siebie na odległość... kliknięcia, bo dziewczyny rozmawiają ze sobą niemal codziennie. W Japonii i w Polsce słuchamy Chopina na podobnych emocjach, a miniogródki na tarasach czy nawet balkonach blokowych uprawiane są z równie wielką pasją i miłością przez miliony tokijczyków i tysiące olsztynian. Dziwny jest ten świat! I wcale nie taki ogromny, jak jeszcze trzy miesiące temu myślałam... Oho! Ktoś puka w moją korę mózgową... – to ty, osle?... że... że młotkiem czy dłutem można się czasem nieźle pokaleczyć?! Dobra, dobra, osle! Zrozumiałem! Cicho tam!!... Hmm, no dobrze, będę ostrożniejszy trochę, z tym klikaniem. Osły to jednak... inteligentne stworzenia.

Więcej ilustracji i tekstów Elwiry i Mateusza Iwaszczyszynów
na blogu: <http://jacekczyagatka.blogg.pl/>



Jacek czy Agatka? Rys. Elwira Iwaszczyszyn



Osiol czy Agatka? Rys. Elwira Iwaszczyszyn

Laurus nobilis który poświęcony Apollinowi² w Grecji na długie 146R65 NOB1L15 |<76rY P0\$F13mCOHy 4POLI1n0fF1 Ff gR3Cy1 N4 dl6G13 lata jeszcze przed naszą erą służył ku chwale zwycięzców olim 1474 y35HcZ3 pRz3d n45HOM 3r0m 5l6RzYl |<6 cHfF4L3 zFfYc13MzC6Ff 0L1M-piadi i ozdabiał ich czoła po zwycięskich biegach rzutach i skop14D 1 OzD4B14l 1Ch cZ014 p0 ZfFyC13m5|<1Ch b13G4Ch rZ674Ch 1 5|<0-kach trafiał już od sześciu bez mała lat na głowy tutejszych |<4Ch 7R4F14l y0rZ Od 5H3\$C16 b3z m414 L47 n4 G10fFy 7673y5hYcH lokalnych herosów aliści nie za sprawą mięśniowej tężyzny LO|<4INyCh H3R056Ff 4L1\$C1 N13 z4 5pR4Ff0m m13M\$N10f3Y 73MrZyZnY fizycznej choć ci na których głowy ów *laurus* trafił twierdzili F1ZyCzN3Y Ch06 c1 N4 |<76rYcH G10fFy 6Ff 146R65 7r4f1l 7Ff13RdZ1L1 że a jeno synapsów które rodzą nowe a poczytne historie rZ3 4 y3n0 5yN4P56fF |<76R3 r0dZ0M NOFf3 4 P0CzY7N3 cH1570r13 opowiadane na kartach z włókien organicznych wytworzonych 0P0fF14D4N3 n4 |<4r74Ch z fF16|<13n 0Rg4n1cZnYcH FfY7Ff0rZ0NyCh w onym roku przymierzany był do nowych sześciu głów a to fF 0nYm r0|<6 pRzYm13Rz4nY Byl DO n0fFyCh 5H3\$C16 gl6Ff 4 70 przywołani zostali w glorii niewiast Tamara Bołdak-Janowska³ PrZyFf014n1 Z05741l Ff gLOR11 N13fF1457 74M4R4 b01D4|<-y4n0fF5|<4 co poezjom swoim tytuł *Ceremonie węglowe* nadała i Gaja c0 P03zYOM 5fF01m 7y76l C3R3MON13 Ff3mG10fF3 N4D414 1 g4y4 Grzegorzewska⁴ która w szaty kryminalnego romansu *Topielicę* GrZ3G0Rz3fF5|<4 |<76r4 Ff 5H47y |<rYm1n4IN3G0 r0m4n56 70P131c3m swą ubrała a to w mniejszej glorii mężów fason trzymających 5fF0M 6bR414 4 70 Ff mN13y5h3y gLOR11 M3MrZ6Ff f450n 7RzYm4y0mCyCh Mariusz Sieniewicz⁵ co w *Miasto szklanych stoni* taką imam4r165h 513N13fF1Cz C0 fF m14570 5h|<L4NyCh 510N1 74|<0m 1M4-ginację wprowadził że po lekturze każdy filozof najpierw G1N4Cy3m fFpR0fF4dZ1l Rz3 PO l3|<76rZ3 |<4RzDy f110z0f n4yP13rFf w głębokiej zadumie do wniosku dochodzi że energia co prawda fF G13mB0|<13Y Z4D6M13 DO fFn105|<6 d0cH0Dz1 Rz3 3n3rG14 C0 pR4FfD4 kocha materię lecz zdradza ją z przestrzenią w czasie a potem |<0Ch4 M473R13m l3cZ ZdR4Dz4 YOM Z PrZ357Rz3n10M Ff cZ4513 4 P073M ni stąd ni zowąd wesołości jakiejś dostaje dalej Artur N1 570Md n1 Z0Ff0mD Ff35010\$C1 y4|<13y\$ d0574Y3 d4l3y 4R76r Nichthausera⁶ który najpierw zgubił lecz bał się komukolwiek n1cH7Ch4653R |<76rY N4Yp13RfF Zg6b1l l3cZ B4l 513m |<0M6|<0IFf13|<

do tego przyznać a potem *Znalezione w biurku* (tak po prawdzie d0 73G0 pRzYzN46 4 P073M zN4L3Z10n3 Ff b16R|<6 (74|< P0 pR4FfDz13 z4 za sprawą własnej żony) odnalazł i ogłosił co znalazł a tego 5pR4Ff0m fF145N3Y Rz0nY) 0Dn414z1 1 0G1051l c0 Zn414z1 4 73G0 d05Y6 dosyć dużo było no i Filip Onichimowski⁷ co pomysł na porząd-dórZ0 bY10 N0 1 f11p ON1Ch1m0fF5|<1 c0 P0MY5l n4 PORz0mD-ki na mieście doskonale przedstawił bo mafijne układy tylko |<1 n4 m13\$C13 d05|<0n4Y PrZ3D574Ff1l b0 M4F1Yn3 6|<14dY 7yL|<0 nowa mafia zdolna jest rozbić jednak to wszystko nie takie n0fF4 m4f14 zDOLn4 Y357 r0zB16 Y3Dn4|< 70 Ff5hY57|<0 n13 74|<13 proste jest bo każda mafia ma swoją strefę wpływów a już u nas Pr0573 y357 B0 |<4RzD4 m4f14 m4 5fF0Y0M 57R3F3M FfPIYF6Ff 4 y0rZ 6 N45 to nawet jedna taka ogarnia co cztery lata wszystkie strefy 70 n4fF37 Y3Dn4 74|<4 0g4rN14 C0 cZ73rY L474 fF5hY57|<13 57r3fY i w dodatku wmawia nam że to w naszym interesie i z naszego 1 Ff d0d47|<6 fFM4Ff14 n4m rZ3 70 Ff n45HyM 1n73R3513 1 Z N45h3g0 wyboru a każdego który rozumu dostaje i chciałby się wbić FfYb0r6 4 |<4rZd3g0 |<76Ry r0z6m6 D0574y3 1 ChC141By 513M FfB16 w rolę Robin Hooda moresu uczy i za przykład jaki to on jest Ff r0l3m r0b1n cH00d4 MOR356 6CzY 1 Z4 pRzY|<14d y4|<1 70 0n y357 „be” i „fe” a nawet „fuj” podaje a potem do tury pakuje „b3” 1 „F3” 4 N4fF37 „F6Y” p0d4y3 4 p073m d0 7l6RmY P4|<6y3 i adios pomidory ale to nie czoło *Człowieka z Palermo* Wawrzyn 1 4d105 POM1D0Ry 4L3 70 N13 Cz010 cZ10fF13|<4 z p413rM0 Ff4fFrZyN ozdobił tylko Sieniewicza i Nichthausera choć ten ostatni mimo 0Zd0b1l 7Yl|<0 513n13Ff1cZ4 1 n1cH7Ch4653R4 cH06 73N 05747n1 M1M0 iż w wiek bardziej uposażony w głosowaniu internetowym zwy-1Rz fF Ff13|< b4rDz13Y 6p054rZ0Ny fF G1050fF4N16 1n73Rn370fFyM ZfFy-ciężył jednak Apollinśka Kapitula *cum laude* ku Sieniewiczowi C13mRzYl y3dN4|< 4POL1n5|<4 |<4P17614 c6m l46D3 |<6 513N13fF1Cz0fF1 pośpieszyła i wawrzynem mu czoło zraniła. p0\$P135Hy14 1 fF4FfRzYn3m m6 Cz010 Zr4n114.

¹ Tłumaczenie w tzw. języku pokemońskim, jakim posługują się młodzi użytkownicy komunikatorów internetowych i telefonów komórkowych.

² :1/

³ 0^F

⁴ :#

⁵ _|:-)

⁶ (Z|: ^

⁷ S:-) ~

Połącz w pary



Mecenasami i pomysłodawcami projektu happeningu „Baba z Olsztyna, czyli Olsztyn babą stoi” są Anna i Tomasz Lella. Zapraszamy w przyszłym roku na II edycję happeningu – pod hasłem „Euro-Baba, czyli wszystkie baby do Olsztyna”.